W NUMERZE: Scotland Yard contra Scotland Yard ■ Miasto nad Wolbórką ■ Teatr dzieckiem podszyty ■ Lorelei ■ Polityka ■ Felietony ■ Recenzje ■ Minimagazynek - 1 3

Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 15 (1166) ROK XXIII 13 KWIETNIA 1980 R. CENA 3 ZŁ

WŁODZIMIERZ ZALEWSKI: *Być może brak samokontroli, czy głębszej świadomości aktorskiej wyda się naganny...*

Foto: R. Łucyszyn

Miłośnicy scen muzycznych niejednokrotnie już dawali wyraz swemu przekonaniu o konieczności zmiany regulaminu dorocznych nagród teatralnych. Nie obejmował on bowiem artystów pozostających w służbie dwu muz — Polihymni i Melpomeny jednocześnie. Nam także wydawało się, że wiele propozycji, które prezentowali artyści łódzkich teatrów muzycznych zasługiwało na miano wybitnych kreacji. Dokonaną w tym roku w regulaminie Srebrnych Łódek i Pierścieni zmianę uwzględniającą odtąd te osiągnięcia witamy zatem z satysfakcją i zadowoleniem. Stworzona przez Włodzimierza Zalewskiego, artystę Teatru Wielkiego, tytułowa rola w musicalu ZORBA już w dniu jego premiery zyskała miano wspaniałego sukcesu tego młodego śpiewaka, który dał nią świadectwo mistrzowskiego doprawdy opanowania warsztatu nie tylko wokalnego, ale i aktorskiego. Wiadomość o przyznaniu temu artyście Srebrnego Pierścienia wzbudziła powszechną aprobatę teatro- i melomanów.

— Już sam fakt wysunięcia mojej kandydatury do tej nagrody wydał mi się zaszczytny i — nie ukrywam — sprawił mi wiele przyjemności. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie jednak, że mógłbym go dostać, i uznawszy jego otrzymanie za rzecz zupełnie niemożliwą, przestałem o tym myśleć. Wiadomość o szczęśliwym dla mnie werdykcie jury

BODAJ RAZ ZAŚPIEWAĆ...

rozmowa z WŁODZIMIERZEM ZALEWSKIM

zaskoczyła mnie tak, że nie bardzo umiałem na nią zareagować. Po prostu cieszyłem się bardzo, to uczucie radości jest we mnie do dzisiaj i — jak pani widzi — wcale go nie ukrywam. Ta nagroda jest naprawdę bardzo miła. Cieszy mnie tym bardziej, że wyróżniono nią tę rolę, którą szczególnie lubię. Miło mi również, że moja rola w „Zorbie" spodobała się innym.

— Jest pan rzeczywiście wspaniałym Zorbą.

— Nie wiem czy jestem Zorbą. Chciałem tylko przekazać część prawdy o tej imponującej postaci, która dzięki filmowi zwłaszcza, stała się nam wszystkim bardzo bliska. Niewielu jest takich ludzi, i może dlatego cenimy sobie każdy kontakt z tymi postaciami które tak jak on personifikują te wszystkie wspaniałe cechy: świeżość uczuć, radość życia, szlachetną prostotę charakteru, ukochanie świata i ludzi. Myślę też, że w powszechnej sympatii dla Zorby kryje się nasza tęsknota do takiej czystości i piękna. Do spontaniczności zachowań, o której dawno już zapomnieliśmy. Zniewoleni przez konwenanse, za którymi ukrywamy własne wzruszenia, w takich ludziach jak Zorba znajdujemy tę lepszą część samych siebie i być może dzięki nim bodaj na krótką chwilę stajemy się lepsi, pogodniejsi, łatwiej znosimy niepowodzenia. Także mnie Zorba dodał wiary w siebie.

— Czy po pięciu zaledwie latach pracy zaczynało jej panu brakować?

Dalszy ciąg na str. 2

JACEK INDELAK

ŚMIERĆ W SKANSENIE

Nie wiem, jak umierała Jolanta Ś. Nikt tego nie wie i nigdy się nie dowie: śmierć ją naszła nagle, w zupełnej samotności.

W pierwszym okresie występują bóle i zawroty głowy, uczucie tętnienia w skroniach, szum w uszach, brak tchu, bicie serca. Jeśli się leży w wannie, w oparach gorącej wody — można po prostu zlekceważyć te objawy, traktując je jako przejściową niedyspozycję. Również i stadium drugie nie musi od razu wzbudzać niepokoju, chociaż symptomy są jeszcze przykrzejsze: osłabienie ogólne, lekki niedowład mięśni, a także zmącenie świadomości, przypominające stan po spożyciu alkoholu. Potem zaś tętno i oddech przyspieszają się. Następuje okres trzeci: oddech nerwowy, obniżenie ciśnienia tętniczego, niemiarowe i słabe tętno — a w końcu utrata przytomności. Jeśli w tym momencie nastąpi interwencja, jest jeszcze szansa uratowania życia.

Pomoc jednak nie nadeszła. Jeżeli nawet wzywała pomocy, nikt tego wołania nie słyszał: szczelnie zamknięte drzwi łazienki i mieszkania, a za oknem — śnieżna dujawica.

Prokuratura Rejonowa dla Dzielnicy Łódź—Widzew umorzyła w pięć tygodni później dochodzenie w sprawie nagłego zgonu Jolanty Elżbiety Ś., uzasadniając swoją decyzję następująco:

„Jolanta Ś. zamieszkiwała wspólnie z Januszem P. w mieszkaniu nr 2 przy ul. Przędzalnianej 49 w Łodzi. W dniu 4. I. 1978 r. Janusz P. około godz. 19 odwiózł Jolantę Ś. do domu, sam zaś udał się do swoich rodziców zamieszkałych w Łodzi (...) u których nocował. W dniu 5. I. 1978 r. około godz. 9 rano Janusz P. przyjechał do swojego miejsca zamieszkania i zastał leżącą w wannie z wodą Jolantę Ś. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził zgon (...) Jak wynika z protokołu sekcji, przyczyną zgonu Jolanty Ś. było zatrucie tlenkiem węgla (...) Jak wynika z pisma Krajowej Spółdzielni Pracy Usług Kominiarskich, przewody kominowe w posesji przy ul. Przędzalnianej 49 m. 2 są nieszczelne i niedrożne. Podłączenie do takich przewodów bojlera gazowego powodowało, że część spalin przedostawała się do wewnątrz".

Postanowienie — podpisane przez podprokurator Elżbietę Cyrkiewicz — zamyka konkluzja:

„Mając na względzie powyższe okoliczności, należy uznać, że zgon Jolanty Ś. był wynikiem nieszczęśliwego wypadku i dlatego należało postąpić jak na wstępie".

Dochodzenie umorzono. Od tragicznej śmierci Jolanty Ś. minęły dwa lata. Janusz P. nie może jednak pogodzić się z tym faktem. Na to przynajmniej wskazuje złożony przez niego w widzewskiej prokuraturze wniosek.

„Wnoszę o wznowienie postępowania dochodzeniowego w w/w sprawie i pociągnięcie winnych do odpowiedzialności karnej".

Prokuratura odrzuca jednak jego wniosek. Zwraca się on wówczas do naszej redakcji z prośbą o interwencję.

* * *

Przędzalniana 49 — to czerwonocegły piętrowy budynek, wchodzący w skład zabytkowego osiedla fabrycznych „czworaków" na Księżym Młynie, zwanych po łódzku, wbrew słownikom, famułami. Budynek jest narożny, w podwójnym sensie, bo po pierwsze — stoi u zbiegu Przędzalnianej i Fabrycznej, po drugie zaś — stanowi jeden z rogów czworoboku, w jaki zakomponowano to zeszłowieczne osiedle mieszkaniowe widzewskich robociarzy. Wszyscy wiedzą: ten oryginalny zespół urbanistyczny stać się ma w przyszłości miejskim skansenem. Nikt jednak nie wie: kiedy? W przyszłym skansenie,

Dalszy ciąg na str. 4

Kiedy w 1966 r. na łamach *Teatru* profesor Stefania Skwarczyńska rozważała możliwości dynamizacji kultury artystycznej w Polsce, pierwszoplanowe znaczenie przywiązywała do stworzenia placówek naukowo-badawczych przy uniwersytetach i wyższych szkołach pedagogicznych.

MAŁGORZATA GOLICKA

MOGLIBYŚMY WIELE ZROBIĆ

W praktyce idzie o to, aby teatr mógł traktować miejscowe teatrologiczne ośrodki badawcze jako zaplecze naukowe, służące mu swoją wiedzą, radą, pewną współpracą (np. w publikacjach), mogące mu przysposobić takich współpracowników jak kierownicy literaccy, archiwiści; aby z kolei te ośrodki badawcze widziały w twórczości teatrów i ich historycznej tradycji obiekt swych zainteresowań i zawsze mogły liczyć na dostęp do archiwów, na osobisty udział artystów w ćwiczeniach teatrologicznych prowadzonych z młodzieżą — pisała profesor Skwarczyńska powołując się dalej na przykłady takiej współpracy ówczesnej Katedry Teorii Literatury Uniwersytetu Łódzkiego. Już bowiem w latach 60 utworzony w tejże katedrze Ośrodek Badań Teatrologicznych czerpał materiały do prac z przeszłości teatrów i aktualnie wystawianych spektakli zaś reżyserzy i aktorzy uczestniczyli w zajęciach uniwersyteckich. Z licznymi placówkami upowszechniania kultury filmowej współpracował Zakład Wiedzy o Filmie, a przyszli krytycy filmowi i teatralni otrzymywali pierwsze szlify w katedrze uniwersyteckiej.

Poczynania te wymagały nie tylko odpowiedniej ilości pracowników naukowo-badawczych, ale przede wszystkim odpowiedniego klimatu atmosfery i nawyku współpracy. Nie były to sprawy łatwe, tym bardziej iż, jak podkreślała profesor Skwarczyńska w tym samym artykule, niemałe opory tkwiły w samym środowisku naukowym, *którego przedstawiciele niechętnie patrzyli na wszelkie nowe sztuki, zwłaszcza takie jak film i telewizja sądząc, iż godnym obiektem badań jest tylko to, co się „jak figa ucukruje, jak tytuń uleży".*

Dalszy ciąg na str. 7

RYSZARD BINKOWSKI

KOTLET Z DYNI

Iwańska, energiczna, drobna kobieta, oświadcza, wchodząc na podwórze, że teraz trochę głupio jej mówić, bo krzyczała na męża jak diabli ale ten się uparł i zakisił prawie wszystkie ziemniaki.

— No i okazało się, że kiszonki za mało, już „wyszła". Nic się nie zmarnowało...

Podchodzi do starych, poniemieckich silosów, wąskich i głębokich jak studnia.

— Tu jest ta druga kiszonka, z rozdrobnionego na „bąku" buraka, z kukurydzy i śruty rzepakowej. Ciężko wyciągać. W ogóle jest ciężko, wczoraj wieczorem dopiero założyli nam „siłę". Trzeba kupować cement i budować silosy.

— Gospodarstwo się powiększyło?

— Mąż dokupił 6 ha i jest teraz 15, na razie sprzedaje się trochę warchlaków i tuczniki, ale będą same tuczniki, w planie 180 sztuk rocznie...

Świnie chowają się w bateriach klatki stoją piętrowo.

— Pani Iwańska, świnie zawsze karmiło się ziemniakami zmieszanymi ze śrutą.

— Tak, ale skąd brać tyle śruty? A przy kiszonkach można zaoszczędzić pasz treściwych. Dokładnie się nie wyliczy, ale oszczędność jest. Przyrosty wagowe takie same, albo nawet lepsze. Mąż chce teraz urozmaicić kiszonki. Ma już nasiona dyni oleistej...

Henryk Iwański z Lewandowskim, obaj z Nowosolnej, zamierzają kupić do spółki kolumnę parnikową. To świadczy, że ci hodowcy przekonali się co do karmienia świń kiszonkami i chcą się uniezależnić od SKR, która jesienią nie może nadążyć z parowaniem ziemniaków. Warto by im ułatwić nabycie takiej

Dalszy ciąg na str. 3

DNI KULTURY RADZIECKIEJ

Jak już informowaliśmy — w dniach od 18 do 27 kwietnia odbywać się będą w całym kraju „Dni Kultury Radzieckiej", będące trzecią już tego typu kompleksową prezentacją dorobku kultury i sztuki naszych sąsiadów.

W tym roku impreza ta będzie ważnym akcentem w obchodach trzech doniosłych rocznic: 35-lecia podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między ZSRR i PRL, 35 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem i 110 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina.

„Dni" rozpoczną się 18 kwietnia w Warszawie uroczystym przedstawieniem baletu Arama Chaczaturiana „Spartakus" na deskach Teatru Wielkiego — w wykonaniu artystów Państwowego Akademickiego Teatru Wielkiego ZSRR.

W dalszym ciągu zaplanowano — w ogółem 29 dużych miastach — ponad 130 koncertów, spektakli i recitali, w których zaprezentuje się polskiej publiczności 800 radzieckich artystów. Otworzy się także ok. 30 wielkich wystaw, m.in. „ZSRR — Polska. Tradycje rewolucyjne", „Współczesna plastyka radziecka". Wśród uczestników „Dni" znajdą się zespoły takie, jak wspomniany moskiewski balet TW, Wielki Leningradzki Teatr Dramatyczny im. Gorkiego, Ludowy Chór Narodów Północy, Wielki Teatr Lalek z Leningradu, Chór a capella Ormiańskiej SRR, Litewska Orkiestra Symfoniczna i Chór Kamerálny Konserwatorium Moskiewskiego.

Wśród solistów, których gościć będziemy na naszych estradach, zapowiadani są m.in. artyści tej klasy co skrzypkowie: Leonid Kogan i Oleg Kogan, wiolonczelistka Natalia Gutman, pianiści: Michaił Pletniew, Mikołaj Pietrow i Aleksander Słobodianik. Orkiestrami filharmonii katowickiej i krakowskiej dyrygować będą: Timur Mynabajew i Genadij Pietrow. Wystąpią też: Ludmiła Szemczuk — sopran, Walery Piwowarow — baryton oraz para baletowa Gierszunowa — Berdyszew.

Osobne miejsce zajmować będą w bogatym programie tegorocznych „Dni" pokazy, przeglądy i cykle filmowe, m.in. wyświetlane będą filmy powstałe w kooprodukcji radziecko-polskiej, filmy o Leninie, filmy związane z 35 rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem. Odbędzie się także retrospektywny przegląd filmów radzieckich wyprodukowanych w latach 1927—1975 pod hasłem „Ekranowa uroda ludowej tradycji". Ważnym elementem „Dni" będą także seminaria, sympozja i spotkania polskich i radzieckich środowisk twórczych, wystawy książki radzieckiej, prasy, płyt gramofonowych, znaczków itp.

Dzięki staraniom władz kulturalnych, instytucji upowszechniania kultury, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i zakładów pracy, **wiele interesujących imprez odbędzie się również w Łodzi i województwie.** Niewątpliwie największym wydarzeniem będą **występy baletu Teatru Wielkiego ZSRR z Moskwy.** 25 i 27 kwietnia — na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego — radzieccy artyści przedstawią **„Spartakusa"** — spektakl, za który trzej jego twórcy: choreograf J. Grigorowicz, kier. muz. G. Rożdiestwienskij i scenograf — S. Wirsaładze otrzymali w 1970 r. Nagrody Leninowskie. Natomiast 26 i 28 kwietnia goście pokażą **„Romeo i Julię"** S. Prokofiewa. Partie solowe tańczyć będą wybitni artyści, m.in. **N. Pawłowa, N. Biessmiertnowa, Al. Bogatyriew, W. Gardiejew, M. Ławrowski.**

Na tej samej scenie — 20 kwietnia — usłyszymy w partii „Aidy" G. Verdiego znakomitą solistkę Teatru Wielkiego w Moskwie, laureatkę Konkursu im. Czajkowskiego, mezzosopranistkę — **Ludmiłę Szemczuk.**

W dwa dni później atrakcja dla innej grupy muzycznych melomanów. W Teatrze Rozmaitości wystąpi z recitalem, na który złożą się m.in. nie znane pieśni ludowe, odkryte przez samą artystkę — wybitna piosenkarka **Żanna Biczewska,** 14 kwietnia zaś — w sali Teatru Muzycznego — odbędzie się recital innej czołowej piosenkarki ZSRR — **Ałły Pugaczowej.**

Do Dni Kultury Radzieckiej przygotowały się również łódzkie **instytucje artystyczne i placówki upowszechniania kultury.** Biblioteka im. Waryńskiego proponuje w kwietniu wystawę pn. „Z historii polsko-radzieckich stosunków kulturalnych" (książki i publikacje). Muzeum Sztuki zaprasza na wystawy oświatowe i odczyty m.in. na temat radzieckiego plakatu politycznego i malarstwa Ilii Repina. Nie zabraknie także oferty ze strony Muzeum Historii Miasta (wystawa pt. „Film Polski w ZSRR" oraz prezentacja wydawnictw z cyklu „Z dziejów teatralnej Łodzi"), a do Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego zapraszaliśmy już — na sprowadzoną z Leningradu wystawę pn. „Przeszłość i teraźniejszość narodów Azji i Kazachstanu" — w naszej „Kronice kulturalnej". Będzie ona czynna do końca kwietnia.

Spektaklami sztuk rosyjskich i radzieckich uczczą „Dni Kultury" łódzkie teatry. Przypomnijmy zatem, że w Teatrze Powszechnym z powodzeniem grany jest „Słoń" A. Kopkowa, a od niedawna publiczność łódzka ma okazję oglądać nową premierę — „Energicznych ludzi" W. Szukszyna. W Teatrze im. Stefana Jaracza dużym sukcesem zakończyła się inscenizacja „Rewizora" M. Gogola, przygotowana przez radzieckiego reżysera — W. Fokina. W Teatrze Muzycznym z kolei prezentowany jest spektakl „Szelmostwo swatki" W. Dolidze.

Ale obok imprez odbywających się w profesjonalnych placówkach upowszechniania sztuki, organizatorzy łódzkiego programu Dni Kultury Radzieckiej przygotowali wiele ciekawych imprez, które swym zasięgiem obejmą szersze kręgi i środowiska społeczne. **Imprezom tym patronuje Łódzki Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej,** a odbywać się one będą w licznych zakładach pracy, szkołach, uczelniach, kinach, domach kultury, i siedzibie TPPR.

Wymieńmy niektóre. Na przykład 19 i 26 kwietnia w Instytucie Filologii Rosyjskiej UŁ odbędą się eliminacje wojewódzkie VI Akademickiego Turnieju Języka Rosyjskiego i Wiedzy o ZSRR. Sesję popularno-naukową nt. „Rozwoju stosunków polsko-radzieckich po II wojnie światowej" — zorganizuje — przy współudziale Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych — TPPR 15 kwietnia, zaś od 17 do 19 kwietnia w ZDK „Eskimo" radzić będą uczestnicy sympozjum nt. „35 lat współpracy przemysłowej Polski i ZSRR". Związana z tematyką kultury będzie natomiast inna — ogólnopolska sesja popularno-naukowa, poświęcona „Realizacji polityki kulturalnej we współpracy między Polską i ZSRR". Przygotowują ją TPPR, łódzkie uczelnie artystyczne, Dom Kultury Radzieckiej i Centralny Zespół Lektorski ZG TPPR, a odbędzie się ona 25 kwietnia o godz. 10 w PWSSP.

Od 14 do 16 kwietnia trwać będą w łódzkich kinach — przygotowane przez TPPR i OPRF — V Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim, zaś 23 kwietnia o g. 15 i 17 kino „Gdynia" zaprasza na projekcje filmów w rosyjskiej wersji językowej. Nieco wcześniej, bo 21 kwietnia w kilku łódzkich kinach zaprezentuje się filmy wykonane przez WFO na zlecenie ZG i ZŁ TPPR.

W programie łódzkich „Dni Kultury Radzieckiej" znajdują się także koncerty muzyczne; dwa z nich odbędą się w zakładach „Wifama" — 17 i 21 kwietnia, a bohaterem będzie oczywiście muzyka rosyjska i radziecka. Natomiast 25 kwietnia o g. 17 — w Teatrze im. St. Jaracza — zaprezentują się laureaci Konkursu Piosenki Radzieckiej. Z tej dziedziny warto również wymienić spotkania załóg łódzkich zakładów pracy z członkami Teatru Wielkiego w Moskwie (od 19 do 28 kwietnia).

(T.S.)

NASI GOŚCIE

MISTRZOWIE SZTUKI BALETOWEJ

Balet Teatru Wielkiego w Moskwie — ta nazwa oznacza dla miłośników tej dziedziny sztuki gwarancję najwyższego kunsztu.

Legenda, jaką otoczony jest ten zespół, nie zrodziła się w naszych czasach. Jego dzieje liczą ponad 200 lat i swą dzisiejszą sławę moskiewski „Bolszoj" zawdzięcza w ogromnym stopniu podtrzymywaniu ciągłości tradycji, sięganiu do dzieł, których twórcy zajmują poczesne miejsce w historii światowego baletu.

Ten właśnie zespół otworzy cykl spotkań polskich widzów i słuchaczy z kulturą Kraju Rad. Program inauguracyjnego, uroczystego spektaklu wypełni znany już naszej publiczności balet Arama Chaczaturiana „Spartakus", zaś w czasie kolejnych przedstawień zobaczymy inne wybitne dzieło — „Romea i Julię" Sergiusza Prokofiewa.

Na sukcesy tego zespołu składa się też praca związanych z nim zawsze znakomitych choreografów, których talent sprawiał i sprawia, że ich inscenizacje stanowią — niejednokrotnie od dziesiątków lat, wzorzec dla innych twórców i zespołów. Do takich właśnie klasyków należą tworzący tu niegdyś Marius Petipa Michał Moisiejew czy takie indywidualności jak Kasjan Gelejzowski Asaf Meserer, Leonid Ławrowski.

Od kilkunastu lat głównym baletmistrzem zespołu jest równie znakomity artysta, Jurij Grigorowicz. Tworzone przez niego inscenizacje klasyki, przy pełnym pietyzmie dla muzyki i oryginalnego libretta, odznaczają się umiejętnością wydobycia treści przedtem niedostrzeganych przez choreografów, znaczenia zawartej w nim głębi filozoficznej i psychologicznej.

Moskiewski „Bolszoj" nie osiągnąłby jednak takiej sławy, gdyby nie tancerze, jacy tworzą jego zespół. Na tej scenie oklaskiwano jedną z największych artystek w dziejach światowego baletu — Halinę Ułanową i jej następczynię — Maję Plisiecką. W ostatnich latach wyrosło kolejne pokolenie gwiazd moskiewskiego baletu: Nadieżda Pawłowa, Jekaterina Maksymowa, Natalia Biessmiertnowa, Ludmiła Siemionaka, Nina Sorokina, Jurij Władymirow, Wiaczesław Gordiejew, Aleksander Bogatyriow i in.

Balet moskiewskiego Teatru Wielkiego jest więc synomimem najwspanialszych osiągnięć w tej dziedzinie.

AŁŁA PUGACZOWA

Jest dziś jedną z najpopularniejszych piosenkarek radzieckich. Powodzeniem cieszą się jej występy na estradzie, miliony widzów i słuchaczy gromadzą jej programy radiowe i telewizyjne, a płyty z jej nagraniami rozchodzą się błyskawicznie. Te sukcesy Ałły Pugaczowej poprzedziły lata twórczych poszukiwań, często — rozgoryczenia i porażki.

Absolwentka moskiewskiej szkoły muzycznej im. Ippolitowa-Iwanowa podjęła współpracę z zespołem estradowym Olega Lundstrema i grupą „Wiesiołyje Riebiata". W 1974 roku została laureatką V Wszechzwiązkowego Konkursu Artystów Estrady. Następny rok — i nowy, duży sukces: zwycięstwo na festiwalu piosenki „Złoty Orfeusz" w Bułgarii. Znana od lat piosenka Emila Dimitrowa „Arlekino" w jej interpretacji nabrała nowego blasku. Na Festiwalu Interwizji w Sopocie w r. 1978 zdobyła główną nagrodę „Bursztynowego Słowika".

Na indywidualność Ałły Pugaczowej składają się nieprzeciętne walory wokalne połączone z talentem aktorskim i gromną ekspresją. Każda piosenka wykonywana przez Ałłę jest dramatyczną miniaturą, kilkuminutowym spektaklem, w którym muzyka i słowa spełniają równie ważną rolę. Wszystkie wykonane przez siebie piosenki sama opracowuje i przygotowuje, często też komponuje. Wybiera do swojego repertuaru utwory różnych typów: żartobliwe, liryczne, nastrojowe i typowo przebojowe.

W przyszłości pragnie zostać reżyserem estradowym. Kształci się w instytucie sztuki teatralnej im. Anatola Łunaczarskiego w tym właśnie kierunku.

Ałła Pugaczowa szczyci się tytułem Zasłużonej Artystki ZSRR.

ŻANNA BICZEWSKA

Żanna Biczewska jest artystką wyjątkowo oryginalną, o rzadko spotykanej umiejętności sugestywnego wyrażania treści wykonywanych przez siebie utworów. Wybrała pieśni ludowe, którym nadała nowy sens i nowe formy wyrazu. Śpiewając z akompaniamentem gitary, tworzy obrazki wokalne, fascynujące słuchaczy niezwykłą interpretacją.

Swój repertuar artystka dobiera bardzo starannie, jeżdżąc w różne regionu kraju, gdzie poszukuje ciągle nowych, zagubionych lub zapomnianych pieśni ludowych. Ma dar szybkiego nawiązywania kontaktu z każdą publicznością, szczególnie młodą. Jej poprzednie koncerty w Polsce przysporzyły artystce tysięcy entuzjastów. Jest laureatką Wszechzwiązkowego Konkursu Artystów Estrady.

SCENARZYSTOM IN SPE

Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im Leona Schillera w Łodzi ogłasza zapisy na dwuletnie Studium Scenariuszowe. Kandydaci powinni mieć wykształcenie co najmniej średnie oraz nie przekroczony 35 rok życia.

Osoby mające zamiar ubiegać się o przyjęcie na Studium powinny w terminie do 31 maja 1980 roku złożyć:

— Oryginalne prace literackie — prac nie publikowanych (powieść publikowane, lub maszynopisy nowela, opowiadanie, reportaż scenariusz utwór dramatyczny) — w 3 egzemplarzach.

— Życiorys wraz z informacją o dotychczasowym dorobku twórczym.

— Podanie o przyjęcie na Studium wraz z dokumentami wymaganymi od ubiegających się o przyjęcie na studia wyższe.

Dokumenty oraz prace należy przesyłać na adres: PWSFTviT — Studia Zaoczne, ul. Targowa 61/63, 90-323 Łódź.

Szczegółowych informacji udziela Dział Szkolenia PRF Zespoły Filmowe, Warszawa tel. 45-51-84, lub Sekretariat Studiów Zaocznych PWSFTviT Łódź tel 683-62 lub 639-44 w. 20 w godz 9—15

Zajęcia rozpoczynają się w październiku 1980 r.

BODAJ RAZ ZAŚPIEWAĆ...

Dalszy ciąg ze str. 1

— I tak i nie. Sił mam zdaje się dosyć, ale nie raz zdarza mi się wątpić, czy podołam stawianym przede mną zadaniom. Takie właśnie zwątpienie ogarnęło mnie na przykład rok temu na wieść, że powierzono mi partię starego króla Filipa w „Don Carlosie".

— Verdi skomponował ją tak, że jest wymarzona dla pańskiego głosu...

— Tak, to prawda i aczkolwiek partia ta jest niezwykle trudna, to przyznam, że mniej obawiałem się jej strony wokalnej, bardziej zaś — aktorskiej. Czy w moim młodym przecież jeszcze wieku uda mi się przeistoczyć w starca? Czy w związku z tą choćby barierą mam prawo grać tę rolę? Czy starczy mi umiejętności wokalnych i aktorskich na stworzenie tej tragicznej przecież postaci Czy w realizacji tego zadania nie przeszkodzi mi mój, ciągle jeszcze wyczuwalny przeze mnie, brak większego doświadczenia? Czy nie zawiodę zaufania teatru i nadziei słuchaczy? Przyzna pani, że aby pokonać wymienione tu wątpliwości, by móc przystąpić do pracy bez owych bardzo ją utrudniających obciążeń, potrzebna jest jednak wiara we własne siły. W takich chwilach rodzi się wewnętrzny nakaz ciągłej, intensywnej pracy, warunkującej istnienie tej wiary; pracy, która dawałaby prawo do tego, co jest zaledwie cieniem decyzji, do postanowienia: „spróbuję to zrobić...".

— Takimi decyzjami wyznaczamy zazwyczaj rytm naszej pracy, naszego życia.

— Oczywiście. Rzecz jednak w tym — by decyzje te były przemyślane, by niosły w sobie szansę powodzenia naszych przedsięwzięć, byśmy nie musieli nazywać ich pomyłkami. Przyznaję — tych pomyłek trudno czasem uniknąć.

— Czy w tak młodym wieku ma pan za sobą również i pomyłki?

— Mam za sobą poszukiwania. Ich rezultat wydawać się może słuszny. Dla mnie samego efekt tych poszukiwań — fakt, że jestem śpiewakiem operowym — okazał się celem do którego (początkowo nieświadomie) zmierzałem, a szukałem go dosyć długo. Dziś z jego osiągnięcia płyną moje największe satysfakcje.

— Jakie drogi wiodły pana do tego celu?

— Myślę, że typowe i bardzo charakterystyczne dla mojego pokolenia. Zaczęło się od ...big-beatu. Wcześniej pasjonowało mnie malarstwo, sporo energii pochłaniała koszykówka, ale w wieku, kiedy zaczyna się myśleć o zawodzie, o swojej przyszłości — przyszło zainteresowanie muzyką.

— Droga od big-beatu do opery wydaje mi się jednak dosyć odległa...

— Mnie już nie. Może dlatego, że to przejście było u mnie dość płynne i prawie niezauważalne. Ktoś posłyszał mnie śpiewającego w zespole, ktoś namówił na egzamin wstępny do średniej (bez żadnego właściwie przygotowania) szkoły muzycznej. Po zaledwie rocznym w niej pobycie rozpocząłem studia na Wydziale Wokalno-Aktorskim łódzkiej PWSM, a tam narodziło się największe marzenie: bodaj raz zaśpiewać w operze...

— Pamięta pan swój debiut operowy?

— Ani trochę. Choć powinienem, było to bowiem bardzo niedawno, a takie wrażenia zostają ponoć do końca życia. Ale nie pamiętam, bo tamtego wieczoru trema przyćmiła wszystko. Więc tylko w i e m, że wystąpiłem w niewielkiej partii Bonzy w wystawianej wtedy „Madame Butterfly". Wiem — bo to był konkretny fakt. Niczego natomiast nie będę mógł powiedzieć pani o wrażeniach z tego wieczoru, którego wizję budowałem sobie przez sześć lat studiów. Mam zresztą żal do siebie, że nie potrafiłem jakoś nad tą tremą zapanować. Moment realizacji największego marzenia przeszedł jakby obok mnie. Nie pamiętam jak znalazłem się na tej wyśnionej scenie, nie wiem jak na niej śpiewałem, nie wiem, jak z niej zszedłem. „Obudziłem się" w garderobie, gdy było już po wszystkim.

— Trema jednak minęła — rozpoczęły się lata normalnej pracy.

— Trema nie minęła. Może tylko zmniejszyły się jej rozmiary. Lata pracy zaowocowały już pewnym doświadczeniem, ale emocje towarzyszą mi do dziś. Są tylko trochę inne. Biorą się z pracy nad rolą, a później z prezentowania jej na scenie.

— Na czym polegają te emocje?

— Na pełnej, na przykład, identyfikacji z kreowaną postacią. Ciągle zresztą aktorstwo jest dla mnie pasjonującą zagadką. Nie wiem jak to się dzieje i proszę nie posądzać mnie o kokieterię, ale czuję, grając króla Filipa, jego starość, ciężar własnej ręki i z trudem poruszającego się ciała. Rozpiera mnie radość życia Zorby. Czuję się nim i to jest właśnie takie wspaniałe dla mnie. Nie umiałbym jednak odpowiedzieć na pytanie jak pracuję nad rolą. Analizuję każdą, która zostaje mi powierzona. Źródła historyczno-literackie pozwalają mi wykreować jakąś wizję granej postaci. Później jednak samoczynnie włączają się we mnie jakieś niezupełnie mi znane mechanizmy, oddziaływają jakieś ciśnienia i po prostu powstaje „mój" Filip, „mój" Zorba. Być może ten brak samokontroli, czy głębszej świadomości aktorskiej wyda się pani naganny, ale tak to już we mnie jest. Może się rozwinę. Czy spróbuje pani w to uwierzyć?

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze. Czytuję „Odgłosy" z coraz większym zainteresowaniem, znajdując w nich coraz więcej artykułów mówiących o sprawach obchodzących czytelników coraz więcej rzetelnych recenzji i informacji. Czym mnie przy tym ujmujecie, to tym, że o skomplikowanych sprawach piszecie zazwyczaj w sposób zrozumiały, używając języka, który dociera do czytelnika nie obłożonego słownikami, nie siląc się, na ogół, epatować nikogo pseudonaukową frazeologią.

Dlatego też z osłupieniem przyjąłem tekst o Jarosławie Iwaszkiewiczu, pióra Henryka Pustkowskiego, pomieszczony w 13 numerze z dnia 30 marca br. Nie mam siebie za tępego (może błądzę), ale proszę mi uwierzyć, prawie nic z tego felietonu? szkicu? eseju? nie zrozumiałem. Nie mam siebie za tępego, bo, jak sądzę, rozumiem poezję Iwaszkiewicza (rozumiem czuję, odczuwam — nie wszystko przecież daje się w poezji z r o z u m i e ć) — także i te wiersze drukowane ponad tekstem p. Pustkowskiego, który miał je objaśniać...

Może to dlatego, że jestem człowiekiem starej daty, że rozczytywałem się w pisarstwie krytycznym Juliusza Kleinera i innych filologów dawnej szkoły (sam jestem filologiem z wykształcenia choć pełnię inny zawód), którzy głębię analizy umieli łączyć z klarownością wywodu. Może dlatego nie potrafię zgłębić dzisiejszego stylu pisania o poezji. Czy on jest lepszy? Bardzo wątpię. Łączę pozdrowienia i mam nadzieję że będę mógł pozostać Waszym

stałym czytelnikiem

(skromne moje nazwisko nic Panu nie powie, więc go nie podaję)

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

maszyny, zrobiliby u siebie i pomogli uparować ziemniaki sąsiadom.

Henryk Szkup, kierownik działu produkcji zwierzęcej WOPR w Bratoszewicach, mówi:

— *Gdyby Iwańskiemu wyszła ta dynia, to by było coś. Jeśli dobrze pamiętam, dynia daje na dobrej ziemi dobry plon, dochodzący do 2.000 kwintali z hektara...*

No i kto by pomyślał że świnie będzie się karmić burakami z dynią? Zmusza do tego konieczność. Niemal w całym świecie, wskutek niekorzystnych warunków atmosferycznych w okresie wegetacji i podczas żniw, obniżyły się plony zbóż paszowych: kukurydzy, jęczmienia, owsa, sorgo, żyta, prosa i mieszanek. W skali światowej plony wyniosły 730 mln ton, czyli spadły o 19 mln ton, a np. w Australii były niższe o 10 procent. Wprawdzie w USA zboża się udały, ale tamtejsze nadwyżki nie pokryją światowych niedoborów, wynikłych ze słabego urodzaju.

Tymczasem rośnie popyt na mięso, mleko, drób. Potrzeby żywnościowe można zaspokoić poprzez uzyskanie odpowiednich ilości pasz, bo te gwarantują rozwój hodowli. Za pasze jednak trzeba płacić coraz drożej, a poza tym trudno je kupić. Aby wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, trzeba intensyfikować produkcję zbóż i pasz objętościowych, a przede wszystkim oszczędzać, szukając nowych metod karmienia.

Fachowcy z Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Bratoszewicach zabrali się do opracowania i wprowadzenia w życie nowego sposobu karmienia trzody chlewnej. Wytypowano 104 gospodarstwa chłopskie, tzw. pilotujące: 11 w woj. miejskim łódzkim, 43 w skierniewickim i 50 w piotrkowskim. W gospodarstwach tych karmi się świnie kiszonkami, nie tradycyjnymi, lecz „kombinowanymi".

— *Chodzi nam o wypracowanie najlepszego wariantu dla danego gospodarstwa* — mówi Henryk Szkup — *uzależnionego od wielkości areału, ilości zbóż, buraków itp. Podstawą kiszonki są parowane ziemniaki, resztę stanowią buraki pastewne, w całości lub rozdrobnione, wraz z liśćmi, ziarno kukurydzy lub kukurydza cięta razem z kolbami oraz rzepakowa śruta poekstrakcyjna jako dodatek białkowy.*

— *Zamiast śruty rzepakowej* — podejmuje Wacław Szczepaniak, specjalista od konserwacji pasz — *można dodawać odpady z przetwórni ryb. W kiszonce powinno być 50—70 proc. parowanych ziemniaków oraz 5—10 proc. śruty poekstrakcyjnej, która jest odpadem powstającym przy produkcji margaryny. Resztę mogą stanowić buraki, kukurydza, zielonki z łubinu, seradeli, koniczyny, a nawet trzeci pokos traw. Ale nie w nadmiarze, a to ze względu na ciężkostrawność włókna. Ilość włókna w dziennej dawce może sięgać 5—6 proc. Do osuszenia kiszonki może służyć poślad, plewy, nawet siano, ale trudno je rozkruszać.*

— *I na takiej kiszonce może wyrosnąć tucznik?*

— *No, nie na samej...*

— *Bo to by było zbyt piękne* — śmieje się Henryk Szkup — *Do kiszonki trzeba dodawać paszę treściwą, na przykład „provit". Aby wyhodować tucznika o wadze 120 kg, trzeba zużyć 3,7 q paszy treściwej. Karmiąc świnie kiszonką zużywa się 2 q paszy treściwej, w tym 40 kg „provitu". Ale ta ilość „provitu" równa się wartości 1 q śruty zbożowej...*

Zacząłem liczyć. 2 q mniej „provitu" to 160 kg. Jeżeli 40 kg „provitu" równa się 100 kg śruty, to razem będzie 260 kg paszy treściwej. A więc przy karmieniu kiszonkami zaoszczędza się 110 kg paszy zbożowej na jednym tuczniku. Ale to są wyliczenia teoretyczne, w praktyce zawsze może wyskoczyć coś nieprzewidzianego. Tym niemniej gra jest warta świeczki i dlatego Bratoszewice pomogły rolnikom w woj. miejskim w zakiszeniu 407 ton kiszonek, co w 44 proc. powinno zaspokoić potrzeby paszowe w ciągu roku dla stada 37 loch i wyhodowania 600 tuczników. Koszenie zielonek i kolumny parnikowe miały zapewnić SKR.

Foto: R. Łucyszyn

KOTLET Z DYNI

Drugim rolnikiem, który w Nowosolnej karmi trzodę kiszonkami, jest Ryszard Lewandowski. Ma obecnie 60 tuczników i 7 loch, ale chce mieć 10, żeby nie kupować prosiąt na rynku, bo są po 2.500 zł oarka. Ma także baterię, czyli klatkę piętrową, w której z trudem pomieści się 10 tuczników. Lewandowski nie jest zachwycony baterią. Świnie są w bezruchu, powinny się tuczyć, ale jeść nie chcą za wiele. W jednej baterii było 6 sztuk, w drugiej 10. Jadły tyle samo, ale te sześć szybciej rosło, bo w ruchu.

— *Muszę budować drugi silos, bo ten za mały* — mówi pokazując niewielki zbiornik, w którym leży coś, co przypomina makowiec. — *To jest kiszonka z ziemniaków, kukurydzy i śruty rzepakowej. Samej śruty rzepakowej świnie nie chciały jeść, bo gorzka. W kiszonce buraki odgoryczają śrutę...*

— *Kiedy pan zaczął z tą kiszonką?*

— *Chciałem już dwa lata wcześniej, ale nie było czym robić. Najpierw urządzono w Nowosolnej wojewódzki pokaz, a potem zabrakło kolumny parnikowej. Nie ma także maszyny do rozdrabniania kukurydzy. Pociąłem kukurydzę sieczkarnią. Jak jest za długa, to potem kiszonki nie rozdrobni się na „bąku", bo wychodzą pasma włókna. Karmię świnie kiszonkami, bo zbrzydło mi codzienne parowanie ziemniaków w parniku, obieranie na wiosnę z kiełków.*

— *A nie ze względu na oszczędność?*

— *To także mam na uwadze. Nie mam użytków zielonych, więc u mnie duże znaczenie ma kukurydza. Przy burakach trochę za dużo roboty. Na dodatek do kiszonki zasiałem mieszankę żyta z pszenicą.*

— *Pszenica niska, może nie dojrzeć w żyto.*

— *Zobaczymy. Powinna dojrzeć. Jak się uda, będzie wysoki plon i dużo dobrej paszy treściwej.*

— *A jak świnie rosną na tej kiszonce?*

— *Jedzą z ogromnym apetytem. A jak rosną? Ostatnio kilka warchlaków musiałem zostawić na tuczniki, bo mi za szybko „poprzerastały"...*

Lewandowski dodatkowo wzbogaca kiszonkę białkiem, ponieważ dodaje serwatkę. Ale kiedy byłem u niego, w podwórzu leżały na przyczepie dwie puste beczki. Już drugi dzień nie dostaje serwatki, bo w mleczarni w Nowosolnej nawaliła pompa. Przez tę pompę robi się nie tylko bałagan, ale zwyczajny kryminał bo wtedy serwatkę spuszcza się do ścieków. Taki hodowca, jak Lewandowski, ma jeszcze kilka innych „udogodnień". Na przykład otrzymuje zlecenie na 4 tony mieszanki „I." dla macior, którą chętnie jedzą też prosięta. Jedzie do GS i otrzymuje 200 kg, za tydzień 400 kg i tak w koło Wojtek, przez okrągły rok. Podobne kłopoty ma hodowca świń z Glemzowa, w gminie Brójce, Jerzy Kwiatkowski.

Ostatnio rolnicy zaczynają narzekać na zakłady mięsne w Rawie Mazowieckiej. Dzieje się tam coś dziwnego, warte wnikliwego przebadania, bo dostawcy tuczników tracą na kilogramie tzw. wagi ciepłej bitej po 6—10 zł. Nie wiadomo, czy wpływa na to zła wartość tusz świńskich, rozregulowanie wag automatycznych czy nierzetelność odbiorców.

Zastanawiałem się, czy tuczników nie dałoby się karmić kiszonką z samym dodatkiem rzepakowej śruty poekstrakcyjnej. Henryk Szkup oświadczył, że właściwie to ja mam rację, ale świnia też na rację. Można wyhodować tucznika dając mu dziennie 8 kg kiszonki wzbogaconej śrutą rzepakową, ale on może zjeść tylko 5—6 kg, więcej do pyska nie weźmie. Poza tym ze śrutą rzepakową nie jest tak dobrze. Pod dostatkiem jest jej tylko wtedy, gdy udają się zbiory rzepaku. No, ale te niedostatki mogą z powodzeniem zastąpić odpady z przetwórni ryb, albo odpady z ubojni drobiu. Myślę, że warto się także zająć odpadami poprodukcyjnymi z „fabryki pieczarek" w Skierniewicach.

Zapytałem inż. Jerzego Czackiego, dyrektora WOPR w Bratoszewicach, czy oszczędność pasz treściwych można wprowadzić także w hodowli bydła.

— *Owszem, można, i to z powodzeniem.*

— *A ja słyszałem, że na świecie w karmieniu bydła mlecznego preferuje się pasze treściwe. Jak tu oszczędzać śrutę zbożową, kiedy nasze mleko i tak jest złej jakości?*

— *A wie pan, dlaczego? Bo my jeszcze nie potrafimy racjonalnie gospodarować tym, co mamy. Dajemy bydłu złe pasze objętościowe, np. późne siano, zebrane po przekwitnięciu.*

— *To nie jest wina rolnika. Gdyby miał na czas kosiarkę, nie spóźniłby się...*

— *Zgoda! Ale niech pan posłucha. Całe lato bydło może się obejść bez pasz treściwych. Pod warunkiem, że pastwisko rzeczywiście stanie się najtańszym źródłem paszy. Krowy na pastwisku powinny dostawać jako dodatek kiszonkę z kukurydzy, siano oraz wysłodki buraczane. Ale w tym okresie kiszonki kukurydzianej już nie ma w gospodarstwie, siana też nie ma, a wysłodków żal na lekarstwo. Bo wysłodki zawierają 0,3 proc. cukru, a powinny mieć 0,8 proc., w związku z czym prawie 100 proc. wysłodków gnije w silosie. Można by wysłodki ratować dodając kapustę pastewną, ale to kłopotliwa sprawa. Nie wiem, czy aż tak dużo zyskujemy, gdy przemysł wyciąga niemal wszystek cukier z buraków. I tak, proszę pana, brak wyżej wymienionych komponentów nadrabiamy przez całe lato paszami treściwymi...*

Ta wypowiedź właściwie nie wymaga komentarza, ale trzeba sprawę jakoś zakończyć. Otóż, w minionym dziesięcioleciu produkcja trzody chlewnej wzrosła o 60 proc., ale produkcja zbóż tylko o 6—7 proc. Zwiększenie areału uprawy zbóż o 350 tys. ha w niewielkim stopniu zniwelowało tę dysproporcję. Poważnie wzrósł import pasz: od 3 mln ton w roku 1975, do 8 mln ton w roku 1979. Obecnie musimy nie tylko ograniczyć do minimum import zbóż, ale i sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu na żywność. Dlatego też każda inicjatywa wypływająca od fachowców i samych rolników, zmierzająca do uruchomienia rezerw paszowych, musi być w porę dostrzegana przez władze administracyjne, wnikliwie rozpatrywana i popierana. Nie jest ważne, czy świnie będą jeść dynię czy seradelę. Ważne jest, aby ludzie jedli mięso.

RYSZARD BINKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

SPRAWY I LUDZIE II RZECZYPOSPOLITEJ

Dawno mamy już za sobą czasy, kiedy za wyznacznik postaw zaangażowanych uważano totalny krytycyzm w stosunku do międzywojennej przeszłości, połączony z nie mniejszym aprobatywnym entuzjazmem dla teraźniejszości. Jest ogólną prawidłowością, występującą bynajmniej nie tylko w naszej epoce, że kiedy dokonuje się jakaś zasadnicza przemiana rzeczywistości społecznej i politycznej, towarzyszy jej wzmożony, by nie rzec ostracystyczny krytycyzm do epoki bezpośrednio ją poprzedzającej. Dopiero z upływem czasu, w związku z zakorzenieniem się nowego w społeczeństwie, nadchodzi czas na refleksję, pozwalającą bardziej wszechstronnie, a jednocześnie selektywnie spojrzeć zarówno w przeszłość, jak i krytycznie ocenić naszą współczesność. I wtedy okazuje się — jakże wielu z nas doznało to na samych sobie — że nie można oglądać świata jedynie w kategoriach czarno-białych, że tak jak nasza współczesna rzeczywistość prócz blasków, zawiera i cienie, również rzeczywistość miniona bynajmniej nie składała się z samych mroków.

Stosunek do przeszłości jest w życiu społecznym wskaźnikiem postaw, zajmowanych przez ludzi w teraźniejszości. Dlatego też i nasze wielkie dyskusje historyczne — nie tylko w ostatnich latach mieliśmy ich przecież sporo — są historycznymi jedynie w części. Niemal zawsze chodzi w nich nie tylko o historię, ale o sprawy, które wprawdzie tkwią w niej swymi korzeniami, należą przecież w ogromnej mierze do naszego życia współczesnego. Przytoczmy pierwszy z brzegu przykład: dyskusje o dążeniach międzywojennej Polski do stabilizacji ekonomicznej, ambitne — na miarę ówczesnych możliwości — wysiłki, zmierzające do uprzemysłowienia kraju, powstające w związku z nimi, nie zawsze możliwe wówczas do zrealizowania, ale przecież formułowane, niezmiernie interesujące koncepcje rozwiązań praktycznych. Czyż było przypadkiem, że sprawy te znalazły się w centrum uwagi licznych historyków i ekonomistów akurat w latach siedemdziesiątych? Z pewnością nie. Nasze życie współczesne stawia nam wciąż nowe pytania, na które historyk dostarcza odpowiedzi, zwracając się do przeszłości. Nie jest to jakaś „ucieczka" w czasy minione, od angażowania się w sprawy teraźniejsze. Przeciwnie: jest to udział w ich dyskutowaniu. Przesłanką adekwatnego rozpoznawania problemów teraźniejszości jest przecież umiejętność rozpatrywania ich w zmienności, a więc w historycznej perspektywie. Podobnie jak wielu nie wierzę, by historia miała udzielać teraźniejszości jakiejś „lekcji", jak to jej wielokrotnie przypisywano. Dzieje nie toczą się kołem, by można się było spodziewać, że dziejowe sytuacje będą się powtarzały: gdyby tak być miało, wówczas lekcje historii byłyby wprost nieocenione na przyszłość. Historia, w moim przekonaniu, daje coś zgoła innego, co — jak sądzę — jest znacznie ważniejsze i bardziej wartościowe od tych mniemanych „lekcji". Daje historyczną perspektywę oglądu świata, każe widzieć nam go w jego zmienności, ukazuje, że to, co jest dziś, tkwi swymi korzeniami w jakichś dziejowych zaszłościach, stanowiących uwarunkowania teraźniejszej rzeczywistości, a jednocześnie zwraca uwagę, że ta ostatnia już jutro będzie niczym innym, jak tylko przeszłością.

Marian Marek Drozdowski należy do tych historyków, którzy są obecni wszędzie tam, gdzie toczy się jakaś ożywiona dyskusja, gdzie ścierają się ze sobą poglądy i postawy. Stąd w jego historycznym pisarstwie tak wiele miejsca zajmuje twórczość polemiczna: różnego rodzaju krytyki, wypowiedzi o charakterze dyskusyjnym, syntetyczne szkice, w których chodzi o sformułowanie jakiegoś niestereotypowego ogólnego poglądu bardziej, aniżeli o wyczerpujące przedstawienie sprawy we wszystkich jej aspektach. Doskonałym przykładem tego rodzaju twórczości były szkice, zebrane przez autora w ogłoszonym w 1972 r. w Wydawnictwie Literackim tomie, zatytułowanym: „Społeczeństwo, państwo, politycy II Rzeczypospolitej". Obecnie M.M. Drozdowski opublikował w tym samym wydawnictwie kolejny tom, opatrzony tytułem: „Sprawy i ludzie II Rzeczypospolitej. Szkice i polemiki" (Kraków 1979), nawiązując do poprzedniego nie tylko tytułem, ale także treścią i formą składających się nań tekstów.

Książka jest skomponowana stosunkowo luźno, niemniej można w niej wyróżnić pewne ciągi refleksji, wokół których skupiło się zainteresowanie autora. Rozpoczyna on od rozważań na temat struktury społecznej Polski w okresie II Rzeczypospolitej. Szkice i polemiki" (Kraków 1979), nawiązujący dwóch, wzajemnie przeplatających się wątków refleksji: nad życiem społeczno-politycznym, oraz polityką gospodarczą międzywojennej Polski. Tym razem na pierwszy plan rozważań M.M. Drozdowskiego wysunęła się zdecydowanie problematyka historii polityki gospodarczej: teksty o Gdyni, o powstaniu i rozwoju Centralnego Okręgu Przemysłowego oraz o sporach o kształt polityki gospodarczej rządu w drugiej połowie lat trzydziestych przesłoniły nieco refleksje i spostrzeżenia, dotyczące mechanizmów społeczno-politycznego życia kraju. Wśród tekstów, poświęconych tym ostatnim sprawom, szczególnie zajmujący jest szkic o obliczu politycznym partii żydowskich, poświęcony zagadnieniu, o którym wie się stosunkowo niewiele, a nie zawsze to, co kiedyś rzeczywiście było.

Kolejnym ciągiem refleksji M.M. Drozdowskiego są zagadnienia polityki zagranicznej międzywojennego państwa polskiego. Złożyły się nań teksty o początkach państwowych stosunków Polski ze Stanami Zjednoczonymi, o stanowisku PPS wobec polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej, stosunkach polsko-czechosłowackich w trudnych latach 1938—1939 (tu rozpatrzona została niechlubna sprawa Zaolzia!), o stosunkach polsko-amerykańskich w okresie bezpośrednio przed „burzą", to jest przed wybuchem II Wojny Światowej. I wreszcie ostatni ciąg tematyczny, jak gdyby integrujący poprzednie: sylwetki działaczy społeczno-politycznych międzywojennej Polski, bądź przyczynki do ich biografii.

Eseistyka historyczna — o ile jest dobra — a tom ten daje jej wiele przykładów — niezbyt dobrze poddaje się zabiegom streszczającym. Nie będziemy więc opowiadali tu więcej treści tej nader interesującej, a znakomicie napisanej książki. Społeczeństwo — polityka — gospodarka — ludzie: oto krąg spraw II Rzeczypospolitej, w którym obracają się rozważania M.M. Drozdowskiego. Konflikty i kryzysy — wyznaczają optykę widzenia tamtejszej rzeczywistości. Autor rozważa je dyskusyjnie: tym lepiej, gdyż nie ma w historii — i chyba nie tylko w niej — gorszej rzeczy, jak bezmyślne akceptowanie schematu.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ŚMIERĆ W SKANSENIE

Dalszy ciąg ze str. 1

również w bloku przy ul. Przędzalnianej 49, mieszkają nadal ludzie. Żyją. I umierają.

Mieszkanie nr 2 mieści się w szczytowej ścianie budynku, co ma — jak się później okaże — istotne znaczenie. Wchodzi się do niego z długiego i mrocznego korytarza, którego grube mury poszatkowane są gęsto bliźniaczymi drzwiami do bliźniaczych mieszkań. Mieszkanka maleńkie — niewiele ponad dwadzieścia metrów. Jeden niewielki pokój, jeszcze mniejsza kuchenka, ciasna łazienka i miniaturowy wręcz przedpokój. Kiedyś mieszkały tu wielodzietne rodziny robotnicze. Ba, w niejednym mieszkaniu gnieździło się po kilka na raz rodzin. Jak? Trudno dziś sobie wyobrazić.

Janusz P. — dziś główny i jedyny lokator mieszkania nr 2 — tylko w nim przebywa, bo trudno powiedzieć, że mieszka. Nie miałby zresztą nawet na czym spać: całe mieszkanie — to plac budowy z jednej strony, a z drugiej — magazyn nielicznych mebli i różnorakiego sprzętu, składowanego w prowizorycznych stertach. Porozkuwane ściany, sterczące na zewnątrz rury i przewody. Jest wprawdzie i wizja przyszłości (tej planowanej jeszcze z Jolantą Ś.), realizacja jej jednak rychło pewnie nie nastąpi. Na hałdzie rupieci stoi miniaturowa makieta kuchni z kartonowymi atrapami mebli. Razem je wycinali i kleili. Makieta wypłowiała i zakurzona. Ciągle jednak obowiązuje. Na razie — wokół budowlany rozgardiasz. Remont przebiega ospale i konfliktowo.

— O *mieszkaniu tu nie ma raczej mowy* — stwierdza Janusz P. Ma na szczęście rodziców, u których stołuje się i nocuje.

Jolanta Ś. rodziców nie miała. Oboje — byli więźniowie Oświęcimia — umarli, rok po roku, kiedy była dzieckiem. Wychowywała ją ciotka, po której śmierci znów pozostała sama. W maleńkim mieszkanku przy ul. Niskiej, które w 1976 roku zamieniła na to właśnie, nr 2 przy Przędzalnianej 49. Nie była już wtedy sama. Rok wcześniej, kiedy była już po drugim roku filologii klasycznej i dorabiała w przerwie wakacyjnej jako ekspedientka w „Centralu", poznała starszego o trzy lata Janusza P.

— *Zamieszkaliśmy razem. Zamierzaliśmy się pobrać. Nie papierek jednak był dla nas ważny. Ani ona, ani ja nie przywiązywaliśmy do tego wagi, wychodząc z założenia, że podpisać akt ślubu zawsze zdążymy. Niestety, nie zdążyliśmy.*

Przeglądam zdjęcia. Dobre zdjęcia. Jestem ponoć jednym z nielicznych, którym autor zezwala na wgląd w te fotogramy.

Utrwaliły one Jolantę Ś. taką, jaka zachowała się też we wspomnieniach bliższych i dalszych znajomych. Inteligentna, ładna twarz i myślące oczy za szkłami okularów, zsuwających się niekiedy filuternie na koniec nosa. Normalna, młoda dziewczyna.

Jakże dramatyczne jest zestawienie tych zdjęć z załączonymi do akt sprawy fotogramami wykonanymi po jej śmierci.

Prowokuję Janusza P. do zwierzeń. Nie, nie po to, żeby wykorzystać je w reportażu. Zbyt bolesna i zbyt prywatna to sprawa. Nie, chcę poddać próbie jego szczerość. I wierzę mu, gdy słucham tego głosu, który raz po raz się załamuje, gdy spoglądam w twarz, z którą ucieka przede mną, kiedy mu się oczy zaszklą łzami. Nie piszę o tym, aby skazić tragedię posmakiem melodramatu. Muszę o tym napisać, żeby oddać prawdzie, co się jej należy. Padna bowiem pod adresem tego młodego człowieka zarzuty, że wcale nie o tę tragiczną śmierć mu chodzi, lecz o własne przyziemne interesy. W te zarzuty nie mogę uwierzyć.

Najłatwiej byłoby, oczywiście, pominąć te zarzuty. Reporter jednak o tyle służy ludziom, o ile służy prawdzie. Proszony o interwencję nie może a priori zakładać, że proszący ma rację. Musi dopuścić do głosu wszystkich zainteresowanych.

Głos ma ciągle jeszcze Janusz P., który w swoim — dość zresztą niefortunnie sformułowanym — wniosku o wznowienie postępowania napisał:

„W mieszkaniu przy ul. Przędzalnianej 49 m. 2 (...) w październiku 1976 roku dokonaliśmy zainstalowania bojlera gazowego. Montażu dokonał znajomy hydraulik, prywatnie, a to z tego względu, iż **terminy usług oferowane przez ROM—i były odległe,** a koszt usług oferowanych **prywatnie przez hydraulików ROM** znacznie wygórowany.

W ciągu kilkumiesięcznej eksploatacji bojlera stwierdziliśmy, iż przewody wentylacyjne w łazience nie spełniają swojego zadania. **O tym fakcie, jak również** o zawilgoceniu ściany, **powiadomiła Jolanta Ś. ROM—i jesienią 1977 roku.** W kilka tygodni później, tj. 4 stycznia 1978 roku podczas mojej nieobecności w domu, żona (zmarła była i jest według Janusza P. jego żoną — przyp. J.I.) uległa zatruciu w trakcie kąpieli.

Pomimo zaistniałego wypadku **zgłoszenie dokonane przez żonę pozostało bez echa aż do grudnia 1978 roku,** kiedy to zgłosił się do mnie prywatny wykonawca, pan Stefan Jach, powołując się na zlecenie otrzymane z ROM nr 4, opiewające na dokonanie naprawy przewodów kominowych i odwilgocenia.

Zaskoczony tak późną reakcją administracji usiłowałem dociec jej przyczyn w samym ROM gdzie stwierdzono — „my nic o tym nie wiemy", jak również indagowany p. Jach nie potrafił odpowiedzieć mi, od kogo otrzymał zlecenie na wykonanie w/w robót(...)

W marcu 1979 roku ponowiłem zgłoszenie o wadliwych przewodach kominowych i po usilnych staraniach i niemal codziennych wizytach w ROM już 17 maja 1979 roku (2 miesiące) dokonano ekspertyzy kominiarskiej (...) W sierpniu 1979 roku prywatny wykonawca, Tadeusz Pawlak, dokonał remontu przewodów kominowych, stwierdzając w obecności przedstawiciela ROM, iż stan przewodów, jaki zastał, nie mógł być spowodowany wynikiem eksploatacji, czy też „pracy" budynku, lecz zaniedbaniem w trakcie ich budowy (chodzi tu o przeprowadzony przez Miejskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego nr 5 remont kapitalny budynku — przyp. J.I.). W dniu 18 września 1979 r. na moją prośbę dokonano odbioru kominiarskiego z wynikiem pozytywnym.

Jednakże w trakcie kilkumiesięcznej eksploatacji stwierdziłem, iż przewody kominowe w dalszym ciągu nie spełniają swego zadania, co zostało potwierdzone przez powtórną kontrolę kominiarską dokonaną 16 stycznia 1980 roku.

Do chwili obecnej działania ROM są nieskuteczne i w zasadzie sprowadzają się jedynie **do pracy na papierze.** W ciągu dwóch lat kierownictwo ROM nie potrafiło wyciągnąć wniosków z zaistniałego wypadku i rozwiązać problemu, co jest ewidentnym przykładem działania ROM, **które w znacznym stopniu przyczyniło się do zgonu** (wszystkie podkreślenia moje — J.I.) **Jolanty Ś.".**

To długie przytoczenie zwalnia mnie z obowiązku referowania długotrwałych i wyczerpujących utarczek Janusza P. z Rejonem Obsługi Mieszkańców nr 4, którego opieszałość i niesolidność nie są niczym szczególnym w remontowej rzeczywistości. Ten przypadek jest jednak szczególny. Inny zupełnie wymiar nadaje mu cień tragicznej śmierci.

Zawinionej? Janusz P. twierdzi, że tak.

* * *

— *A, tak, oczywiście, pamiętam tę sprawę* — mówi prokurator Elżbieta Cyrkiewicz. Przynosi też zaraz cienką teczkę z aktami. — *Postępowanie zostało umorzone. Brak jakichkolwiek dowodów winy. Po prostu, nieszczęśliwy wypadek. Zacznijmy od tego, że w mieszkaniu tym nie było urządzeń gazowych, a pan Janusz P., a raczej Jolanta Ś. zgłosiła w ADM chęć założenia bojlera gazowego w łazience. ADM nie założyła, więc Janusz P. zlecił to prywatnemu rzemieślnikowi. Proszę, tu jest notatka służbowa z dnia 16 stycznia 1978 roku.*

Z notatki wynika, że wprawdzie bojler został podłączony prawidłowo, nie spełnione zostały jednak podstawowe warunki bezpieczeństwa. W drzwiach nie wykonano otworów wentylacyjnych, nie przeprowadzono też próby szczelności, nie dokonano również ekspertyzy kominiarskiej przewodów kominowych. Dopiero po śmierci Jolanty S., na zlecenie prokuratury, kominiarze ustalili, że przewody dymowe i wentylacyjne były niedrożne i nieszczelne, że wymagały odgruzowania i uszczelnienia.

— *Eksperytyzy takiej nie zażądał Janusz P., nie domagał się jej też prywatny rzemieślnik* — kontynuuje pani prokurator. — *Rzecz przy tym znamienna, że pan P. osłania tego rzemieślnika, nawet nam nie ujawnił jego nazwiska. W imię czego? Panu wyjaśniał?*

— Stwierdził, że nie chce zaszkodzić człowiekowi, który robił to w ramach tzw. fuchy, a do emerytury mu niewiele zostało.

— Czy nie wydaje się to panu dziwne? W zestawieniu z życiem najbliższej osoby tego rodzaju skrupuły nie są najbardziej przekonywające. Cóż, jego sprawa. Z punktu widzenia prawa jest on zupełnie czysty, co skrupulatnie sprawdziliśmy. Moralnie jednak i on współodpowiada za tę śmierć, jak i współodpowiedzialna jest za nią sama denatka, bo sądzić należy, że decyzja o założeniu bojlera zapadła wspólnie i wspólnie odpowiadali za niespełnienie podstawowych wymogów bezpieczeństwa.

— Gdyby ROM pracował właściwie, gdyby jego hydraulicy zamiast wykonywać w godzinach pracy „fuchy", szybko i sprawnie wykonywali prace i usługi, które leżą w ich zakresie obowiązków — Janusz P. nie musiałby szukać prywatnego rzemieślnika.

— Nie przeczę.

— Powie mi pani wprawdzie, że nieznajomość prawa nie zwalnia od odpowiedzialności, ale nie każdy przecież lokator musi znać się na prawie budowlanym.

— Powiedzmy, że lokator nie musi, ale hydraulik powinien!

— Mamy więc kolejnego współwinnego: prywatnego rzemieślnika!

— To pan ma, bo prawo nie sięga tak daleko. Co innego, gdyby bojler zainstalowany był nie prywatnie, lecz przez ROM.

— Słowem, ROM miał wielkie szczęście?

— W pewnym sensie tak. Nie zapuszczajmy się jednak tak daleko. W świetle faktów trudno mieć tu do kogoś pretensje.

— Janusz P. domaga się jednak wznowienia dochodzenia.

— Jego wniosek został odrzucony. Postępowania wznawia się tylko wtedy, gdy wypłyną nowe dowody. A co nowego w tej sprawie? Wyjaśniłam to już temu panu w czasie rozmowy, na którą go zaprosiliśmy. Co, nie wie pan o tej rozmowie? A szkoda, gdyż pan P. przyznał mi się, że złożył wniosek, aby zmobilizować ROM do szybszego i solidniejszego wywiązania się ze zobowiązań w stosunku do niego. Nie wierzy, pan? Tak więc sprawa zamknięta, winy nikomu nie udowodniono.

— Moim zdaniem są winni tej śmierci!

— Cóż, jest pan dziennikarzem, nie prokuratorem. Pan może wznowić dochodzenie.

* * *

Prowadzę więc swoje dochodzenie.

Rejon Obsługi Mieszkańców nr 4 przy ul. Wilczej 6. Kierowniczka — Irena Sokalszczuk. Pracuje tu osiemnasty rok, wydaje się więc być właściwą adresatką pytania:

— Chciałbym poznać pani opinię o sprawie Przędzalnianej 49.

— To znaczy co?

— Przepraszam, widocznie tylko dla mnie, jest to jakaś sprawa. Uściślę więc: jakie macie państwo kłopoty z tą posesją?

— To jest ten budynek od Fabrycznej? Dość kłopotliwy, wiecznie ci ludzie niezadowoleni. W ostatnim czasie trochę problemów mamy z kominami. Trochę się ludziom kopci, ale też pretensje nie zawsze są uzasadnione. Mamy trzy interwencje w tym budynku. Co jeszcze?

— A mieszkanie numer 2. Nic to pani nie mówi? Obecny lokator — Janusz P.

— Ach, pan P. Łatwiej tak — po nazwiskach. No, był tam nieprzyjemny wypadek. Zainstalowali sobie bojler. Zresztą, ci wszyscy ludzie sobie samowolnie w mieszkaniach coś przerabiają, a potem mają pretensje. Sama zresztą miałam w rodzinie podobny wypadek: młoda dziewczyna zatruła się gazem i zmarła. A w tym mieszkaniu był remont, była ekspertyza. Szczegóły jednak wyjaśni panu mój zastępca — pan Kuzborski. Nie, nie ma go dzisiaj. On prowadzi tę sprawę. Możliwe, że odłączyliśmy gaz od mieszkania pana P. Ale jeśli z kominem coś nie w porządku, to i z bojlera nie można korzystać. Musimy się zabezpieczyć, żeby potem nie było nieuzasadnionych pretensji.

Czy pretensje lokatorów posesji przy ul. Przędzalnianej 49 są nieuzasadnione? Zacznijmy od tego, że nie zrodziły się one „ostatnio".

Sprawa kominów ciągnie się od lat. Miejskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego nr 5 przeprowadziło w latach 1972—1974 remont kapitalny, z którego lokatorzy nie są do tej pory — mówiąc oględnie — w pełni zadowoleni. Mają po temu wiele powodów, jak ja mam powód, żeby powtarzać znów pełną nazwę tego przedsiębiorstwa. Może wreszcie do jego pracowników, którzy remontowali ten nieszczęsny dom, coś dotrze!

ROM nr 4 — pod naciskiem lokatorów — mobilizował to przedsiębiorstwo do usunięcia licznych usterek jeszcze w okresie gwarancyjnym. Na przykład w piśmie z 26. 11. 1974 roku zgłosił m.in. że „*w lokalu nr 7 — wydobywa się czad, nr 10 — wydobywa się czad, nr 13 — wydobywa się czad, nr 18 — wydobywa się czad*"!

Rozmawiam z lokatorami.

Zaczynam od mieszkania nr 7, które zamieszkuje staruszka, Janina Łakomiak. Stwierdza ona:

— Kopci się stale. Rozpalam w piecu, a tu wszystko najpierw wybucha. Dym i ogień na pokój leca. Niech pan popatrzy, niedawno się malowało, a co widać? Zanim się tu troche nagrzeje, to człowiek tyle czadu się naje! Ja też się już zaczadziłam, dobrze, że córka w porę przyszła, okno otworzyła, ocuciła mnie. A ciągle się boję. Ile ja już się nawałczyłam?! Chciałam bojler zakładać, ale córka nie pozwoliła, bo się boi, że się może skończyć, jak z tym biedactwem spod „dwójki". Wie pan, młoda dziewczyna umarła. Oj, proszę pana, wszędzie jest źle, wszędzie czad leci.

— Ja tam już od dawna w piecu nie palę — informuje Maria Miemczyk z mieszkania nr 27. — Wolę zamarznąć, niż się na śmierć zaczadzić! Jeszcze człowiek chce pożyć, chociaż stary!

— Jak zaczynali remont, to zapowiadali, że będzie centralne ogrzewanie — wtrąca jedna z sąsiadek. — A potem przyszli robotnicy i wszystko odwalali byle jak. Śmiali się tylko, że ten remont to zupełna głupota, bo ta ruderа i tak do rozbiórki pójdzie. I jak robili, tak zrobili, a teraz nikogo nie obchodzi nasz los. Można prosić, przyślą co najwyżej kominiarza, a to i tak nie na długo pomaga. Czekają, aż znów ktoś umrze.

I tak można, w tej tonacji, w tym stylu — mieszkanie po mieszkaniu. Podobno większość lokatorów występowała ze skargami do ROM. Czy chociaż w dokumentacji znajduje to odbicie? Bo że w poczynaniach tej instytucji nie znalazło — to już wiemy na pewno.

— *Jedna sprawa, a milion papierków, zabić się można!* — wzdycha Włodzimierz Kuzborski, zastępca kierownika Rejonu Obsługi Mieszkańców nr 4. Wzdycha zresztą całkiem bez powodu, bo w teczce z adresem: Przędzalniana 49 — tylko dwie sprawy. Jedna — to Janusza P. Druga zaś — Janiny Kotyni z mieszkania nr 31.

— *Co to za sprawa?*

— *A, lokatorka próbuje walczyć z duchami!* — próbuje żartować W. Kuzborski. Na poważnie zaś wyjaśnia, że tu znów kłopoty z przewodami kominowymi, przez które nie dość, że dym z pieca uchodzić nie chce, to na domiar — do mieszkania dostają się spaliny z kolejki wąskotorowej. Wzdłuż bowiem szczytowej ściany budynku przebiegają tory fabrycznej bocznicy.

— Zleciliśmy ekspertyzę kominiarzom. Wynika z niej, że problemy ma rozwiązać założenie na komin wywiewki, czyli tzw. koguta. Założyliśmy już tę wywiewkę.

— I co? Pomogło?

— Miejmy nadzieję, chociaż lokatorka ciągle się boi. Jest zresztą trochę przewrażliwiona, bo przed nią kolejnych sześciu lokatorów w tym mieszkaniu zmarło.

— Śmiercią naturalną?

— Podobno. W mieszkaniu nr 2 też była kolejna ekspertyza kominiarska. I zalecenie, żeby założyć wywiewkę.

— Wywiewka jest dobra na wszystko?! Nie spieszyliście się jednak z jej założeniem?

— Na przeszkodzie stały warunki atmosferyczne, nie puszczę przecież człowieka na dach, żeby kark skręcił. Kiedy pogoda się poprawiła, w lutym, wywiewkę założyliśmy, a ekspertyza była w styczniu.

— Wróćmy jednak do innego stycznia — 1978 roku.

— To znaczy?

— 4 stycznia zginęła młoda dziewczyna.

— Słyszałem, ale sprawy nie znam. Pracuję tu od jesieni zeszłego roku.

— Kto więc wówczas tu pracował? Kto zlekceważył sygnał o zagrożeniu bezpieczeństwa?

Krótka narada z koleżankami z pokoju daje wynik w postaci dwóch nazwisk: Andrzej Czerwiński i Andrzej Śniady. Oni mogliby coś na ten temat powiedzieć, bo te sprawy leżały w zakresie ich obowiązków. Niestety, obaj już tu nie pracują. Może więc sprawa ta — a zwłaszcza interwencja Jolanty S. — da się odszukać w dokumentach?

— To był rok 1977? — zastanawia się kierowniczka, Irena Sokalszczuk. — Nie, żadnych dokumentów z tego okresu już nie mamy. Zresztą, proszę pana, o tym całym wypadku zrobiło się głośno dopiero teraz. I nie za bardzo rozumiem dlaczego? Pan P. nie miał przedtem powodów, żeby narzekać na naszą działalność. W zeszłym roku był taki okres, że przychodził do nas i załatwiał z uśmiechem sprawy swojego remontu. Załatwiał je z panią Elżbietą Sadowską, z której pomocy był bardzo zadowolony.

— *Czy mogę porozmawiać z tą panią?*

— *Niestety, też już nie pracuje* — uśmiecha się kierowniczka.

— *Ja panu prywatnie powiem* — wtrąca zastępca — *o co tu chodzi. Pan Janusz P. chciał, żebym mu wystawił zaświadczenie, że z powodu usterek w swoim mieszkaniu nie może wykonywać pracy zawodowej, a jest fotografem. Po co? Żeby uzyskać zwolnienie od podatku!*

— *Proszę pana, w tym mieszkaniu zmarła tragicznie młoda dziewczyna. I to — przynajmniej dla mnie — jest najważniejsze. Czy tej śmierci nie można było uniknąć.*

— *Wie pan, ja na to pytanie panu nie odpowiem. Mogę tylko wyrazić swoją opinię jako budowlanego. Powiem tyle, że kominy zostały wykonane z elementów prefabrykowanych o średnicy 15 centymetrów. Budynek pracuje ciągle, bo poddawany jest wibracji od kolejki. Prefabrykaty się obsuwają, kruszą, a średnica niewielka — stąd też niedrożności i nieszczelności. Do tego dochodzi wadliwe wykonanie instalacji na ścianie szczytowej. Instalacja powinna być ocieplona. Latem wszystko jest o.k. Kłopoty zaczynają się zimą. Kominy zostają zaczopowane zimnym powietrzem, które opada w ich głąb i skutecznie zatyka. Trzeba komin przepalić, wtedy idzie słup gorącego powietrza, wypycha to zimne. I na jakiś czas spokój.*

— *A jak nie wypchnie?*

— *To spaliny wracają do pieca.*

— *Jeśli zaś między przewodem kominowym i wentylacyjnym są nieszczelności — to i do mieszkania. Mieszkanie nr 2 jest szczytowe, spaliny z bojlera w łazience nie są dostatecznie silne, żeby „odczopować" komin. Słowem, gdyby nawet przewody były drożne i szczelne, mogło dojść do wypadku?*

— *Teoretycznie, tak.*

* * *

Skończmy na tym prezentację faktów, opinii, wątpliwości. Podsumujmy poszukiwania winnych. Winnych? Tak. Mniej istotne jest dla mnie, czy wina ta kwalifikuje się do rozpatrywania w kategoriach prawnych czy tylko — moralnych.

Gdyby pracownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego nr 5 wykonali roboty remontowe prawidłowo i solidnie — dziewczyna by żyła.

Przedsiębiorstwo może się zasłaniać błędami w projekcie instalacji dymowo-wentylacyjnej. Jednak nawet zły projekt (doszedłby nam kolejny winny: projektant!), nie jest usprawiedliwieniem dla bezmyślności i niechlujstwa w wykonawstwie. Rzemieślnik, który w mieszkaniu nr 2 remontował na zlecenie ROM przewody kominowe, usunąć z nich musiał najpierw kilka wiader gruzu. Gruzu pozostawionego przez budowlanych!

Gdyby ów tajemniczy rzemieślnik, instalujący bojler w łazience, wykazał się również solidnością w dziedzinie bezpieczeństwa — dziewczyna by żyła.

Gdyby Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź — Widzew w porę, konsekwentnie i skutecznie, rozliczyło wykonawców kapitalnego remontu ze wszystkich usterek, gdyby potraktowało skargi lokatorów z należną powagą i odpowiedzialnością — dziewczyna by żyła.

Co notabene robił inspektor nadzoru z PGM, odbierający od wykonawcy ten budynek? Co robił do tej pory PGM w kwestii zapewnienia pełnego bezpieczeństwa wszystkim mieszkańcom tego budynku? Prokuratura zobowiązała PGM do przeprowadzenia kompleksowej kontroli wszystkich zastrzeżeń, jakie się ujawniły przy okazji zgonu Jolanty S. Czy coś z tego dla mieszkańców posesji nr 49 wynikło?

Gdyby ROM nie zlekceważył sygnału Janiny Ś., gdyby zareagował szybko i skutecznie — dziewczyna by żyła!

Gdyby... Można mnożyć przypuszczenia, które jednak życia Jolancie S. nie przywrócą.

Ktoś może powiedzieć, że gdyby Jolanta Ś. — stwierdziwszy, że przewody wentylacyjne nie są w pełni sprawne — przestała używać bojlera, żyłaby do tej pory.

Z równym jednak powodzeniem ten ktoś może radzić żyjącym jeszcze mieszkańcom posesji nr 49, żeby zaprzestali używania pieców gazowych i kuchni węglowych, bo się mogą zaczadzić.

Mogą, i owszem...

JACEK INDELAK

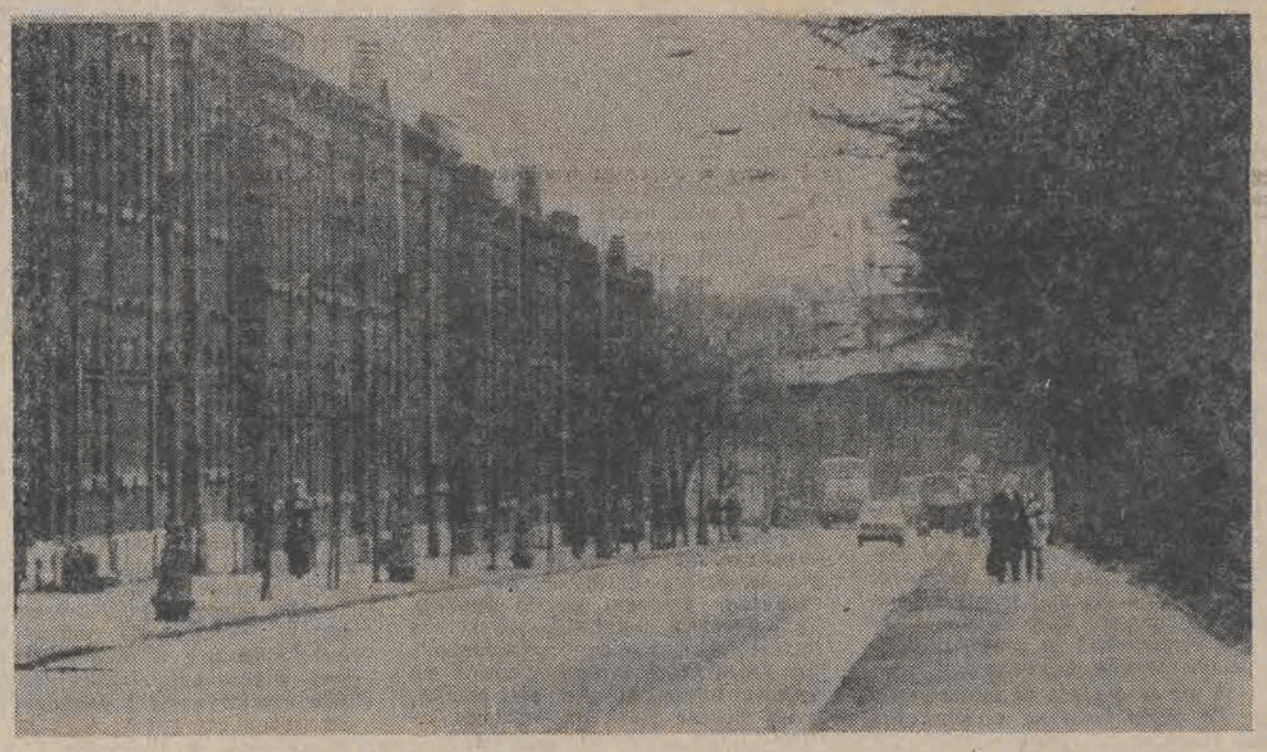

Foto: R. Łucyszyn

MIASTO NAD WOLBÓRKĄ

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

Jak Warszawa Warsa i Sawę, tak Tomaszów Mazowiecki ma swojego legendarnego, choć bezimiennego protoplastę tutejszego trudu. Owego pierwszego górnika, ponoć pochodzącego z daleka, po prostu pokręciło żmudne grzebanie w ziemi. A że był, jako fachowiec pierwszej jakości, nabytkiem hrabiego Tomasza Ostrowskiego, ten nie pożałował spirytusu z własnej gorzelni. Tego nacierany „grabarz" (bo wygrabiał rudę z ziemi) ozdrowiał rychło i wdzięcznie przepowiedział hrabiemu niezmierne bogactwo.

Jak w jednym z rozdziałów przygotowywanej do druku monografii Tomaszowa, która wkrótce ukaże się dzięki pomocy łódzkiego ośrodka naukowego, dowodzi Włodzimierz Rudź, od trzech dziesięcioleci kierownik tomaszowskiego archiwum i żywa encyklopedia Tomaszowa w. 1788 roku stały już w osadzie — wielki piec do topienia rudy, trzy domy mieszkalne i karczma. Podczas niedawnych robót kanalizacyjnych przy al. Wyzwolenia 1/3 odsłonięto na głębokości 5—8 metrów fundamenty wielkiego pieca. Obok pieca egzystowały dwie fryszerki, czyli kuźnice, w których „świeżono" (przekuwano) surówkę żelaza...

2.

W gmachu teatru miejskiego, bo to właśnie poniedziałek, „dzień spowiedzi", zakończyło się robocze posiedzenie rady dyrektorów. Zdawano podczas niego relacje z tego, co zdołano już zrobić w zakresie powziętych „zadań gospodarczych" zaplanowanych do realizacji z okazji 150 rocznicy nadania praw miejskich Tomaszowowi Mazowieckiemu. „Chemitex-Wistom", jako że prymus przemysłowy i miastotwórczy Tomaszowa, przygotowuje front robót, ażeby odmienić nie do poznania plac Kościuszki, czyli rynek tomaszowski, na północnej pierzei zawierający kilka perełek architektury eklektycznej. „Wistom" też w tym roku, ma zakończyć kontynuowaną od siedmiu lat budowę oczyszczalni ścieków (pół miliarda zł wartości). I zgazyfikuje jeszcze „Wistom" w latach 1980—82 osiedle „Strzelecka", i jeszcze systemem gospodarczym zakończy w tym roku budowę stadionu KS „Pilica"...

Przysłuchując się debatom rady dyrektorów, dowiaduje się człowiek, że będą i bulwary spacerowe nad Pilicą, modernizacji ulegnie dworzec PKP, przed którym — pamiętać o tym mamy obowiązek — wpadł w ręce hitlerowskich oprawców śmiertelnie ranny Franciszek Zubrzycki, „Mały Franek" — dowódca pierwszego oddziału GL im. Czarnieckiego. I jeszcze rok ten przyniesie przygotowanie inwestorskie i rozpoczęcie przebudowy południowej, sypiącej się strony wspomnianego już placu Kościuszki. To samo dotyczy ulicy Warszawskiej. Zbuduje się obwodnicę, która odciąży wjazd na stary szlak spalsko-inowłodzki.

Program czynów społecznych i inicjatyw 150-lecia Tomaszowa Mazowieckiego imponuje przybyszom. Jeżeli się wkalkuluje świadomość faktu, iż organizacja jest mocną stroną tomaszowian a ambicja i pracowitość wysokiego lotu — nie ma się wątpliwości iż zamierzenia przeobleką w rzeczywistość.

3.

Kiedy między rokiem 1811 a 1821 Julian Ursyn Niemcewicz odbywał swoje podróże historyczne, tak pisał on o Tomaszowie: *Gdzie czarne i gęste tylko cieniły się lasy, odkryła ręka ludzka błonia i niwy, zaszczepiła owocowe ogrody, wystawiła porządne gospodarskie budowy. Pośrodku wznosi się okazałe mieszkanie, z wierzchołka wieży onej widać tłum nowych piękności: ciemność okolicznych lasów rozweselają tu i ówdzie poczynione przesieki. Rzeka Wolbórka wije się dwoma strumieniami, skrapiając gaje i łąki. Huk młotów w kopalinach, szum kręcących się młynów nadymających potężne miechy, wznoszący się tu i ówdzie dym pieców pokładni czyszczących żelazo, upiększa zachwycające siedlisko...*

Czy aby nie za poetycki to opis? Nie dostrzegł Niemcewicz gość hrabiego fabrykanta, kułaków, odrabiających „pańszczyznę fabryczną" chłopów z Brzustówki i Niebrowa. Ale późniejsi piśmienni przybysze w te strony także dowodzili że Tomaszów to jedna z najbardziej malowniczych osad fabrycznych Królestwa Kongresowego, *„w której coś romantycznego władało umysłami"*. Przyrównywano go do osad nowego świata" jakby żywcem znad Ohio czy Missisipi przeniesionego.

Rozkochanym w Tomaszowie był Piotr Michałowski, spędzający tu każdą wolną chwilę, malując pejaże, a przede wszystkim typy miejscowych oficjalistów, kuźniaków i mieszczan. Któż nie zna opinii o Tomaszowie i jego przepięknych okolicach Juliana Tuwima! To jeden z ogrodów pełnych „kwiatów polskich", A że dola tutejszego roboczego ludu nie była łatwa, że stawał on do boju w 1830, w 1863, w 1905 i później, aż po wyzwolenie w styczniu czterdziestego piątego, tak niedawnego roku...?

4.

Przepowiednia wykurowanego spirytusem poprzez nacieranie „grabarza" z hrabiowskich kopalń rudy tylko w części się sprawdziła. Rudy było coraz mniej, a i przemarsze wojsk wyniszczały osadę Tomaszów, choć jeszcze gorzej było w mieście hrabiów Ostrowskich Ujeździe, skąd hrabia Antoni żonę i dzieci przewiózł właśnie do Tomaszowa, do owego przez Niemcewicza opisanego *„okazałego mieszkania"* — pałacu, wybudowanego w 1812 roku (dziś muzeum regionalne), bo spokojniej tu było niż „na pałacach" w Ujeździe, gdzie swawolili napoleońscy panowie oficerowie. Wkrótce i wielki piec stanął na skutek zarekwirowania furmanek potrzebnych uchodzącym ze wschodu wojskom Napoleona. Wkrótce po chatach okolicznych wiosek ludzie marli na jakąś zakaźną chorobę przywleczoną przez żołnierzy saskich I regimentu księcia Fryderyka Augusta...

„Pozbierał się" Tomaszów dopiero w początkach lat dwudziestych XIX stulecia. Unia celna między Królestwem i cesarstwem rosyjskim otworzyła przed przemysłem włókienniczym nieograniczone możliwości eksportowe. Antoni Ostrowski sprowadza do swojego miasta pierwszych tkaczy. *W początkach 1824 roku pracowało już 100 warsztatów tkackich, 8 postrzygalni, 3 folusze, osiadło też kilkunastu płócienników wyrabiających płótno i płócienka kolorowe.* Sukna tomaszowskie stają się bezkonkurencyjne. Jeszcze bardziej, kiedy w latach 1824—27 zbudowano dwie duże przędzalnie wełny, poruszane wodami Wolbórki, tzw. stara filaturę i „Batawię" — do dziś przetrwały najstarszy tomaszowski obiekt przemysłowy — fabrykę poszukiwanych filców technicznych. Wtedy to sukna z Tomaszowa szły na mundury dla armii Królestwa Kongresowego oraz do Rosji europejskiej i azjatyckiej.

O dynamicznych początkach miasta Tomaszowa Mazowieckiego świadczą te dane: *w roku 1824 osada fabryczna liczyła 1.700 mieszkańców i kilkadziesiąt domów, w tym 30 murowanych, w roku 1830 już z górą 5 tysięcy mieszkańców i 333 domy.*

5.

Data narodzin miasta Tomaszowa Mazowieckiego: 6 lipca 1830. Pierwszym burmistrzem zostaje miejscowy nauczyciel Antoni Wroński. Pół roku później tomaszowski burmistrz staje obok światłego pijara, wychowanka kolegium piotrkowskiego, Wojciecha Klonowskiego do organizowania ruchu narodowego. Już w grudniu dochodzi w Tomaszowie do tworzenia „Jazdy Mazurów" — ochotników uzbrojnych i wyekwipowanych na koszt miasta.

Ale nie było to powstanie zbawienne dla nowo powstałego miejskiego organizmu. Na wieść o wybuchu powstania większość kupców wraz z kapitałami zbiegła z Tomaszowa, fabryki stanęły z braku obstalunków. W lipcu 1831 roku w mieście poczęto organizować silny oddział pospolitego ruszenia.

Po upadku powstania listopadowego wróciło do miasta 48 pozostałych przy życiu bohaterów. Czekały ich roty aresztanckie, a kiedy udało się im uchronić przed nimi, nastały czasy biedy. Tkacz Ernest Bohr, żołnierz napoleoński i „Jazdy Mazurów", taki tomaszowski Zagłoba utrzymuje przy życiu rodzinę grą na skrzypcach. Miasto podupada, liczba jego ludności kurczy się do mniej niż dwu tysięcy. Hr. Antoni Ostrowski, poseł na Sejm i dowódca Gwardii Narodowej Warszawskiej, uchodzi do Francji, zaocznie skazany przez cara na karę śmierci i konfiskatę mienia, a miasto przezeń założone, zdegradowano do roli podrzędnej osady i wypuszczono w dzierżawę prywatnym przedsiębiorcom. Wysokie cła na towary tomaszowskie paraliżują rozwój przemysłu.

Lata pięćdziesiąte — pierwsze maszyny parowe w przędzalni w Wilanowie oraz w „Batawii" 1864 — pracowało już 7 maszyn parowych, ale jeszcze przez długie lata siłę napędową w większości fabryk stanowiła woda. Hamulcem postępu gospodarczego w Tomaszowie, obok ograniczeń polityczno-ekonomicznych jest i bariera lokalna: kosztowny transport węgla i innych surowców. Z braku linii kolejowej towary dowożono końmi do Rokicin lub z Rokicin. Była to zresztą także w owych czasach „węzłowa stacja kolei żelaznej miasta „ziemi obiecanej"...

Okres prosperity zaczyna się w 1875 roku. Wzrasta liczba modernizowanych fabryk tomaszowskich. Produkowane tu sukna i korty o różnych gatunkach i odcieniach znajdują kupców w imperium rosyjskim. W Tomaszowie goszczą kupcy z Moskwy, Petersburga, Rygi Odessy.

Rosną fortuny fabrykanckie. Knothowie, Pietschowie i inni przeważnie Niemcy, lecz także i Żydzi wznoszą pałacyki, gdy wzrastająca klasa robotnicza zaludnia mroczne izby domków tkaczy, strychy i sutereny czynszowych kamienic. Przez lata całe, jeszcze do lat ostatnich takim kapitalistycznym dziedzictwem była „Kaczka", dopiero niedawno zlikwidowana. Nad nieszczęsną „Kaczką" — siedliskiem biednych, w większości drewnianych ruder, położoną na wschód od „Wistomu" stała jak szczelne sklepienie chmura gazów. Do dziś w tej okolicy, przy drodze do Glinnika, znajduje się świadectwo niedoli tego, co żywe: sosny, które są rówieśne sosnom gdzie indziej posadzonym i już dziś na kilkanaście metrów wysokim, są tu karłowate.

6.

Wyrwało mi się, iż poniedziałkowe „spowiedzi" dyrektorów-społeczników odbywają się w teatrze miejskim. Ażeby nie wprowadzać w błąd: odbywają się one w Międzyzakładowym Domu Kultury „Włókniarz", w gmachu, który na początku naszego wieku wznieśli świątli tomaszowianie z myślą o umieszczeniu tu teatru miejskiego. W sali widowiskowej, owszem, organizuje się spektakle teatralne, ale teatru stałego, miejskiego nie ma. I to nie zarzut, to stwierdzenie faktu.

Wyróżniał się i wyróżnia Tomaszów Mazowiecki pod względem inicjatyw kulturalnych. Oczywiście że wypływa ten fakt z innego: tu ludzie kierujący amatorskim ruchem artystycznym, etatowo zatrudnieni w „resorcie kultury" nie przeskakują z kwiatka na kwiatek. W rzędzie animatorów kultury (w pierwszym) trzeba wymienić ćwierćwiecznego już stażem kierownika Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego — Antoniego Skrzydlewskiego, prezesa kilku stowarzyszeń społecznych, m.in. Towarzystwa Przyjaciół Tomaszowa, prezesa MK FJN — Stanisława Sachackiego rezydujących „po Ostrowskich" czyli w muzeum regionalnym Józefa Jastrzębskiego i jego żonę Mirosławę, którzy *„wpadli na rok, dwa do Tomaszowa"*, a też spędzili już w nim z górą ćwierć wieku, dyrektora Państwowej Szkoły Muzycznej — Marię Zakrzewską, dyrektora MBP — Annę Ogórek.

Liczne tu grono autentycznych działaczy kultury: robotników, techników, inżynierów. Damazy Wołosewicz — korzenioplastyk amator brał już w swoim życiu udział w wielu konkursach i to z powodzeniem, utrzymuje więź z Wydziałem Kultury nie tylko przy okazji organizowanej wystawy. Słynie nie tylko w województwie młodzieżowa orkiestra szałamaistów — zasługa to muzyka i działacza kultury Leopolda Figata. Ma serce do kultury dyrektor I LO — mgr Tadeusz Kawka, spisujący też zasłużonych tomaszowian a głównie tych, którzy zrobili kariery w Warszawie, w Polsce. W „Wistomie" działają m.in. inż. Zagożdżon, autentyczny działacz, Antoni Madej — robotnik, działacz kultury, no a przede wszystkim Jerzy Sosnowski, ale o nim za chwilę.

7.

Inicjatywy kulturalne Tomaszowa — to przede wszystkim piękna, dziecięca impreza umuzykalniająca, która wykracza swym zasięgiem poza województwo piotrkowskie, „Tomaszowska Wiosna", w tym roku już szesnasta. Od lat tysiące tomaszowian w soboty i niedziele od maja do września gromadzą się, by w śródmiejskim parku podziwiać występujących w muszli koncertowej artystów, głównie wysokiej klasy mistrzów muzyki. Skąd na to pieniądze? Ze wspólnej kiesy — funduszu powstającego ze świadczeń zakładów przemysłowych Tomaszowa. *„Wysokiej klasy artystę jeden zakład może sprowadzić raz na kiedy* — powiedziano mi — *ale kiedy się ma wspólną zasobną kasę..."* Liczne imprezy organizuje się na estradach osiedlowych, kiedy tylko aura na to pozwala, na nadpilicznej przystani...

Z nowych inicjatyw na uwagę zasługuje Turniej Jednego Wiersza poświęcony kobiecie. W miejskiej bibliotece, gdzie organizowany jest turniej (w tym roku w końcu marca po raz drugi) pracowała przez wiele lat przedwcześnie zmarła poetka i pisarka Teresa Gabrysiewicz-Krzysztofikowa. Wieczór jej poezji łączy się więc z ogłaszanym w województwie turniejem. A też ogłoszono konkurs recytatorski „Mojemu miastu". Założeniem konkursu jest upowszechnienie utworów literackich związanych z Tomaszowem.

„Sojusz świata pracy z kulturą". To hasło w województwie piotrkowskim bez wątpienia najpełniej realizuje „Chemitex-Wistom" — jego ZDK „Chemik". W gabinecie dyrektora Sosnowskiego nie sposób zmieścić wszystkich dyplomów, proporców honorowych i medali krajowych i zagranicznych, bo zespoły ZDK „Chemik", przede wszystkim Zespół Pieśni i Tańca „Piliczanie", koncertowały we Francji, Belgii, odnosząc niemałe sukcesy (a jakże, czytałem wycinki z prasy zagranicznej!). W ZDK „Chemik", kiedy gdzie indziej... czysto i pusto, choć to przedwojenny obiekt, też jest czysty, ale i ożywiony kulturalną robotą. Nie sposób omówić wszystkie formy pracy, prowadzonej dla maluchów i emerytów, także rodzin wistomowskich...

Wielu przyjaciół i stałych uczestników imprez ZDK „Chemik" wyraża ostatnio obawy o stan zdrowia dyrektora Sosnowskiego, człowieka kipiącego pomysłami, znakomitego organizatora i... wielkiego znawcy flory i fauny w dorzeczu środkowej Pilicy.

8.

W Tomaszowie po wyzwoleniu działał w ZWM znany dziś reżyser filmowy Czesław Petelski. Tu wyrośli: Joanna Jędryka i Janusz Bylczyński (ojciec był cenionym lekarnikiem w I LO), czy Bogusław Mec. Związani są z Tomaszowem prof. Jan Legowicz, czy pisarz i podróżnik Przemysław Burchard (odwiedził w lutym Tomaszów). Stąd są rodem mistrzowie świata — siatkarze Skorek i Gawłowski, znana przed laty lekkoatletka (oszczep) Ciachówna...

Z pewnością będą oni gośćmi 150-lecia miasta Tomaszowa. W każdym razie zaprasza ich z powodzeniem na spotkania do MBP mgr Barbara Ulikowska.

„Boguś Mec — mówi pani Barbara — *ukończył nie istniejące już Liceum Pedagogiczne, występował w zespole szarpidrutów „Szare Koty". Kiedy grali, a Boguś śpiewał, i to po angielsku, walił cały młody Tomaszów do parku, a akurat przekazano muszlę koncertową. Śpiewał strasznie głośno. Kiedy po paru latach usłyszałam znakomitego już piosenkarza, nie mogłam uwierzyć, że to on..."*

Bogusław Mec przybył na koncert w porze letniej, w tej samej muszli! Honorarium ma pójść na jakiś kulturalny cel...

Bezdyskusyjnie najwybitniejszym synem Tomaszowa Mazowieckiego był Oskar Lange. Stoi jego dom rodzinny, na miejscowym cmentarzu spoczywają jego najbliżsi. Pradziad z linii ojca Stanisław Izydor figuruje wśród nazwisk powstańców 1863 roku, a znów z linii matki, Krystyn Rosner założył w połowie ubiegłego stulecia na Nowym Ostrowie drukarnię perkalu.

Panuje w Tomaszowie Mazowieckim jakaś przedziwna zmowa milczenia wokół największego syna miasta. Gdzieś wyczytano, iż miał się wyrazić jakoby nie lubił rodzinnego miasta (?). Gdyby nawet tak, wybitnym synom należy wybaczyć. Brakuje w Tomaszowie elementów upamiętniających Oskara Langego...

I skoro już się czepiam... Chwała tomaszowianom za to, iż *„z żywymi naprzód idą"*. Jak i gdzie indziej, i tu sporo jest zaniedbań, gdy idzie o pomniki przeszłości, np. cmentarze. Grób Leona Wodzyńskiego, działacza Wielkiego Proletariatu tylko patrzeć jak zniknie bez śladu. I nie ten jeden grób... Łatwiej podkreślać, że w Tomaszowie urodził się inny czołowy „proletariatczyk" Jan Pietrusiński, stracony na stokach warszawskiej Cytadeli. Nie ma po nim grobu. I cztery bodaj miał lata, kiedy z rodzicami przeprowadził się do Zgierza, w którym działał w ciągu swego krótkiego życia (1864—1886)...

9.

Co produkuje Tomaszów i idzie w świat z wysokim znakiem jakości? Z „Wistomu" włókna syntetyczne (słynna włóczka typu „mohair"), także taśmy samoprzylepne, tomofany. Ciągle za mało poszukiwanych „persów" i gobelinów produkcji „Weltomu". Sędziwa „Mazovia" i „Tomtex" to zakłady słynące z tkanin wełnianych, flauszów, stąd rodem poszukiwana na ubrania młodzieżowe tkanina „arizona". Któż nie zna efektownych ubrań i marynarek ze znakiem ZPO „Pilica"...?

Jeżeli w innych miastach województwa piotrkowskiego braknie w sklepach masła, wsiadają ludziska w autobus lub własne „cztery kółka" i wio do Tomaszowa. To samo, kiedy braknie kurcząt z rożna. Rozmowa z sekretarzem ekonomicznym KM PZPR Anną Kluską i wiceprezydentem miasta Józefem Białeckim upewnia, że to, iż w Tomaszowie nie ma parodniowych braków, a jeżeli są, to tylko godzinne, *to efekt sprawnego systemu organizacji, handlu i trzymania ręki na pulsie*. To samo dotyczy gastronomii. Stołówki kilku zakładów przemysłowych w godzinach popołudniowych zamieniają się w ogólnodostępne restauracje. (Wybierzcie się „Pod Niedźwiedzia" na jadło niedźwiedzie; niedźwiedź jest też w herbie miasta).

Pierwszy sekretarz KM PZPR Tadeusz Szarlej powtarza, kiedy trzeba, że *prawić sobie komplementy można od święta. Na co dzień potrzebna jest krytyczna refleksja, wszechstronne szukanie wyjścia z każdego kłopotu*. Tego wymagają organizacje partyjne i całe załogi „Wistomu", „Mazovii", „Pilicy" oraz pozostałych dużych i małych zakładów pracy. Od siebie i on innych...

Foto: B. Kwapisz

TOMASZ BIESZCZAD

TEATR DZIECKIEM PODSZYTY

Ktoś mnie w wejściu
wziął za rękę,
Na podłodze posadzili,
No i zaraz mi garnitur
Stearyną popiamili.

Nie od dziś wśród młodych i gniewnych recenzentów, towarzyszących swym piórem teatrowi otwartemu, panuje dążenie do zawarcia w tytule recenzji ze spektaklu czy festiwalu (zwłaszcza festiwalu) błyskotliwej i głębokiej syntezy na temat ogólnej sytuacji w ruchu.

Sam też, choć nie jestem ani młodym gniewnym ani zawodowym recenzentem, uległem tej pokusie, toteż moje omówienie X Festiwalu Studenckich Teatrów Debiutujących — START 80 (Kielce — 27—30 grudnia) pozwalam sobie zacząć od przedstawienia paru pomysłów na tytuły, które przyszły mi do głowy, gdy przymierzałem się do pisania: „Korepetycje z polskiego", „Ludzie na wybiegu", „Jak żyć? — mów!", „Słowa-szczury w labiryncie". Proszę mi wybaczyć — nie jest to objaw megalomanii — każdy z tych tytułów byłby uprawniony, choć wzajemnie się one znoszą; ale wszystko tu zależy od kryteriów, jakie recenzent (i widz) przyjmie wobec debiutanta: kryterium pokoleniowej prawdy, czy sprawności rzemiosła?

Otóż po jednym z poprzednich festiwali pewien krytyk zatytułował swój artykuł: „Wyjście na prostą" — inny: „Teatr studencki na zakręcie". Drugi przykład: „Udany start" i... „Falstart". Po tym samym festiwalu!

Tradycyjnie ocenia się teatr studencki według szczerości i żarliwości przekazu. Po ostatnim STARCIE sądzę jednak, że jest to taryfa ulgowa przynosząca mu szkodę. Ani wzruszenie ramionami, ani poklepywanie po ramionach temu teatrowi nie pomogą. Wychowałem się w Teatrze 77 i nie pragnę odbierać debiutującym twórcom prawa do podciągania braków artystycznych — żarliwością. Sam na tym wózku podwoziłem się przez kilka lat. Zastanawiam się tylko czy dziś tzw. żarliwość w teatrze nie przypomina aby sytuacji zagrożonego gatunku, który stara się przetrwać nie sprzyjające warunki ekologiczne, uciekając w gigantyzm. Zachowania aktorskie w teatrach: **Koniugacje, Niespokojnym, Nieprasować czyli teatrze wolnych niedziel** (sic!) **Polowym** i w mniejszym stopniu — w paru innych, sprowadzane bywały do nieuzasadnionych konwulsji i pełnych udręki spowiedzi.

Nie mogę jakoś uwierzyć, że męczeństwo na scenie jest autentyczną i owocną drogą samopoznania i samorealizacji dla licealistów z Rawicza czy Brzegu Dolnego. Skłonny jestem raczej posądzać reżyserów o nieświadome nadużycie dobrej woli i pasji uczniów, zwłaszcza, że owi animatorzy często mieli bądź mają nadal kontakt z czołowymi teatrami studenckimi i dość mechanicznie transplantują ich manierę młodym adeptom, pełnym ufnej gotowości.

Na START stawiło się 20 grup, między innymi ze środowisk dotąd mało znanych: z Siedlec, Rawicza, Słupska, Brzegu Dolnego, Kielc i nie miały one nic wspólnego z prowincjonalnym teatrem amatorskim, który tradycyjnie wystawiał, powiedzmy, „Wesele Boryny", „Radców pana radcy" czy montaże poezji Konopnickiej. Amatorzy przekonali się już o dużej łatwości uprawiania teatru otwartego i ostatnio zaszło coś takiego, jak ongiś z muzyką beatową. Zorientowano się, że starczy niezbyt nawet zasobny mecenas, nieuzbrojona sala, troszkę rekwizytów i można iść w ślady głośnych teatrów: STU, Ósmego Dnia, Grotowskiego. Rezultat łatwo przewidzieć: ciało stawia aktorowi nadspodziewanie silny opór, głos chrypnie i ucieka w falset, rezonatory nie rezonują, oddech się rwie, gest jest nerwowy i przypadkowy. Niektórzy wszakże te smutne efekty braku pracy nad sobą usiłują przekrwawić w żarliwość, która wskutek braku kontroli wynaturza się. Niekiedy jeszcze odpowiada to światopoglądowi spektaklu.

Dlaczego „pusta przestrzeń" sceny, stwarzająca nieograniczone wprost możliwości, jest tak często zamieniana w więzienie, obóz przymusowej pracy, czy w jakieś inne upiorne symboliczne miejsce odosobnienia? W tej turpistycznej przestrzeni człowiek redukuje się do bestii w klatce, szczura w labiryncie, miotającego wśród histerycznych ekscesów filozoficzne meandry. Ciekawy eksperyment.

Teatr Niespokojny z Częstochowy, w spektaklu „Nasza sprawa" walczy z: oportunizmem, mentalnością dyskotekową, szpanerstwem, pijaństwem na budowach, butikami, znieczulicą i z paroma innymi zjawiskami — szkoda że w manierze nieporadnej stylizacji pod poezję romantyczną. Cytuję z pamięci: „Ludzie dziś toną nie w błocie, ale w dolarach, złocie i innej walucie". I tak przez godzinę. Na koniec, już prywatnie, apelują, aby każdy coś zrobił od siebie dla poprawy Rzeczypospolitej. Pięknie! Ale czy, jeśli pewne sceny, zamiast wstrząsać, wzbudzają irytację, zażenowanie, lub w najlepszym razie współczucie, to czy jest to skuteczne?

Przedstawienia są nierówne. Grupa **Nieprasować** ma w spektaklu pt. „Chciałbym" przynajmniej dwie świetne sceny (tę, w której wiszące białe koszule podnoszą, dzięki pomysłowemu urządzeniu, rękawy w geście głosowania oraz finałową, kiedy to wykonawcy wynoszą z głębi, coraz bliżej widzów, coraz większe transparenty z napisem: człowiek) Niestety, giną one w zgiełku i krzyku najwyższej ekspresji, nie zawsze uzasadnionej. Ponadto, od grup, które nie wahają się podjąć najbardziej fundamentalnych kwestii, trzeba wymagać czegoś więcej ponad konwulsyjne diagnozy. Nie, nie żądam od razu recept, ale przynajmniej bogatszych przemyśleń. Niestety, świat przedstawiony przez kilka debiutujących grup, jest światem pełzania, poniżenia, przypadnięcia do ziemi. Z tej pozycji życie jawi się jako płaski proces trwania. A jeśli zdarzy się tu bunt, to histeryczny, trywialny, nawet, gdy jest słuszny.

Korzenie tego zjawiska tkwią w legendzie. W pierwszej połowie lat 70 teatr studencki był, wśród zjawisk artystycznych, najlepiej przygotowany do wyrażenia w sposób odważny i syntetyczny najtrudniejszych problemów naszej rzeczywistości. Lecz czasy te minęły. Przełomowym spektaklem, który zamknął w inteligentnej, przejmującej wizji wszystkie doświadczenia teatru otwartego z tamtego okresu, był, jak sądzę, spektakl „Pacjenci" Teatru STU. Czasy się zmieniły, ale ambicje pozostały. Wspomniany już **Teatr Niespokojny** czeka nadejścia odkupiciela, który, śladem bohaterów romantycznych, wyrazi nasz czas. Otóż nietrudno dostrzec, że taki wyraziciel już istnieje. Jest nim kino. To właśnie filmy takie, jak „Kung fu", „Szczęśliwy człowiek", „Kalina czerwona", „Szansa", „Trzy dni kondora", są dziś barometrem naszych niepokojów, tak jak na początku lat 70 były nim legendarne spektakle teatrów studenckich.

Być może, dojmująca ambicja skuteczności i ambicja wyrażenia syntezy naszych problemów, a jednocześnie narastające podejrzenie, że te ambicje są iluzją zaledwie, być może to pcha niektóre zespoły w lęk pełen konwulsyjnej kontestacji.

Albo wezmą denaturę
I rozleją w kształcie krzyża;
Gdy podpalą ją, to krzyczą,
Żeby Myśl znów była hyża!

Wszystkich niedomagań, retoryki, jednowymiarowości i nieudolności, ustrzegła się grupa z Brna — **Divadlo TAK, TAK,** występująca gościnnie. Zobaczyliśmy nareszcie człowieka jako istotę skomplikowaną i silną, wyposażoną w marzenia, nadzieje, radość życia i w cierpienie, potrafiącą namiętnie protestować kiedy trzeba i kochać pierwszą miłością. Scenariusz oparty został na XX-wiecznej poezji rosyjskiej i radzieckiej. Proste, lecz wyraziste działania aktorskie składały się na misteryjną balladę o tym, że gdy rewolucja tkwi wewnątrz człowieka, w jego sercu, wówczas chwila dziejowa trwa zawsze, zaś rolą poezji jest ją ujawniać. Najciekawszy w tym spektaklu wydał mi się wątek „dobrego policjanta" — oczywiście lojalnego, lecz niekiedy ogarniętego przez dziwne wątpliwości, irracjonalne tęsknoty i pragnienia, szukającego poprzez poezję — sensu życia.

Wyróżniających się przedstawień było podobno więcej. Piszę: podobno, ponieważ tych, które w kuluarach zebrały dobre opinie, niestety, nie zobaczyłem. Po prostu cztery prezentacje dziennie, w salach rozrzuconych po całym mieście, uważam za granicę wydolności obserwatora. Wymienię je jednak. Mówiło się o **Teatrze KTO** ze spektaklem „Ogród rozkoszy" animowanym przez aktorów ze STU: Jerzego Zonia i Adolfa Weltscheka. Interesujące okazało się **Saldo** z Krakowa (spetakl „Słychać śmiech i rżenie"), koszaliński **Jer** z „Chórami" i łódzki **Teatr Miłości Stygmat** („Rorate Coeli Miseribus" — montaż poezji Baczyńskiego).

Są to zjawiska, o których warto mówić, nawet jeśli niektóre z nich wzbudzają instynktowny sprzeciw. Warto dyskutować o **Teatrze Provisorium** z Lublina (aktualnie jeden z prominentów ruchu). Spektakl „Nie nam płynąć na wyspy szczęśliwe" zaleca się niebanalnymi rozwiązaniami teatralnymi i dobrym aktorstwem, niestety, okupia je naśladowczą manierą wobec Teatru Ósmego Dnia. Pierwszy spektakl tej grupy — „Nasza niedziela", był może i chropawy, lecz na wskroś oryginalny i wzruszający.

W stosunku do innych produkcji można już tylko zadać pytania retoryczne: jakiż sens ma wystawienie przez **Studio Teatralne** z Kielc „Lisa filozofa" Mrożka, z pełnym pietyzmem dla autora? Chyba, żeby popisać się aktorstwem. Ale, niestety... Jakiż sens ma inscenizacja „Balu w operze" Tuwima (**Teatr ES** z Siedlec), skoro, przy całej dbałości o historyczne realia, „wzbogaca się" tekst o wulgarne dowcipy, muzykę z serialu „Stawka większa niż życie", czy góralskie przyśpiewki poświęcone cyckom pewnej góralki, które zawsze powiększają się wraz z nadejściem wiosny? (!)

I na koniec wypada jeszcze poświęcić kilka zdań mistyfikacjom, niestety, również niewysokiej próby. **Teatr Ognia i Papieru** w 10-minutowej scence pokazał faceta w masce spawalniczej (oklejonej staniolem i wysadzanej cekinami), który, posługując się czymś w rodzaju małego rożna (z lustrami i świeczkami wewnątrz), dokonywał tam spalania papierowych figurek ludzkich. Przedtem jednak obcinał im głowy i kończyny, pomrukując z lubością. To wszystko. Wszechwładny kreator? Bóg? Uosobienie losu albo totalizmu? No zgoda, może i tak, ale to jest nic! Według biuletynu festiwalowego „filozofię Teatru Ognia i Papieru stanowi fakt, że różne gatunki papieru palą się z różną szybkością". Jak to już łatwo uprawiać filozofię — starczy trochę papieru, zapałki i nożyczki...

Teatr 1957 (niestety z Łodzi) pokazał, podobno prowokacyjny, „Ostatni spektakl polityczny Teatru 1957". Proszę uważać: dwaj młodzieńcy zasiedli za stołem i odczytywali ze słownika, na zmianę, kolejne słowa, powtarzając każdy z nich po kilkanaście razy: akcja, aktywny, apostoł, atmosfera, aż do, baczny, bilans... etc. Bodajże przy „buraku" widzowie dali odpór najpierw dopowiadając „pomidor", a potem redaktor Gluza z „Politechnika" rozgniewał się, jak zwykle i wspólnie ze znajomymi zakrył łodzian jakąś płachtą. Na pewien czas poskutkowało, lecz kiedy ich odkryto, zaczęli znowu, cena, cyjanek, czepek... Wówczas wyniesiono ich z krzesłami poza salę, a za stołem zasiedli widzowie i zabawa trwała dalej. Głupia, ale naprawdę nie ma się czym podniecać. Tylko proszę mi nie argumentować, że się nie znam, bo przecież: dada, happening, prowokacja drobnomieszczańskich gustów, uczestnictwo widza, konceptualizm, kultura alternatywna... Ja już w to nie wierzę. Nie odbieram, w świętym oburzeniu, prawa do takich i podobnych eksperymentów, nie lubię tylko, gdy z teatru otwartego robi się prostytutę, która zniesie każdy gwałt zadany zdrowemu rozsądkowi przed oczyma lekceważonego widza.

Aktor przebrał się za widza,
A widz znowuż za aktora...
Nie wiesz, czy to tak
naprawdę,
Czy ktoś im napisał role.

Ta łatwość mistyfikacji jest już ponad siły. Zanika nuta przejmującej pokory wobec sztuki i wobec widza, charakterystyczna dla grup najdojrzalszych. Młode zespoły nie boją się już po kilku tygodniach doraźnej pracy pokazać swych produkcji publicznie. Dobrze byłoby, gdyby jeszcze raz pochylili się z szacunkiem nad opisami kalorżniczej, lecz wiodącej do maksymalnego rozwoju, pracy aktorów z Teatru Laboratorium. Gra idzie o poważną stawkę; nie protekcjonalne pouczania ze szpalt gazet, pisane przez zawiedzionych recenzentów, lecz wewnętrzna świadomość grupy, cierpliwość i pracowitość, mogą przynieść owoce.

Teatr otwarty staje się powoli zjawiskiem popularnym. Rozwija się jego widownia. Mistyfikacja i nadużycia będą coraz częściej demaskowane i kompromitowane.

Niedawno, w Białymstoku odbyło się Ogólnopolskie Seminarium Teatrów Przy Kawie. Nie wiem, co tam pokazywano — słyszałem jedynie komunikat w radiu — być może była to cenna impreza, ale sam fakt, że można tworzyć i obserwować teatr przy kawie, napawa mnie przerażeniem. Sądzę bowiem, że małe formy teatralne stopniowo wyspecjalizują się w stronę świeckiego misterium. Ten kierunek ewolucji wskazują dokonania czołowych grup polskich i światowych i jest to chyba proces niepowstrzymany, jeśli zważyć, jakie tradycyjne funkcje teatru są anektowane przez telewizję, superprodukcje filmowe, masową turystykę. Jednocześnie wiadomo, jakie zanikające potrzeby ludzkie teatr otwarty jest w stanie odświeżyć i zaoferować w nowych, różnorodnych formułach artystycznych — potrzeby ludzkiego kontaktu, ciepła, obcowania z wartościami moralnymi.

Na festiwalu pocieszaliśmy się wzajemnie, że to dobrze, iż studenci i licealiści zamiast pić wódkę, grać w pokera, kształtować wrażliwość na dyskotekach, bądź przesiadywać przed telewizorem; w chwilach wolnych od nauki robią teatr.

Jest to jakaś racja.

Ale to już dziś za mało.

P.S. Artykuł pozwoliłem sobie zilustrować fragmentami wiersza, napisanego przez mojego przyjaciela — Czesława Marynowicza z Turoszowa, po jednym z poprzednich festiwali teatru otwartego, który obserwowaliśmy wspólnie.

T.B.

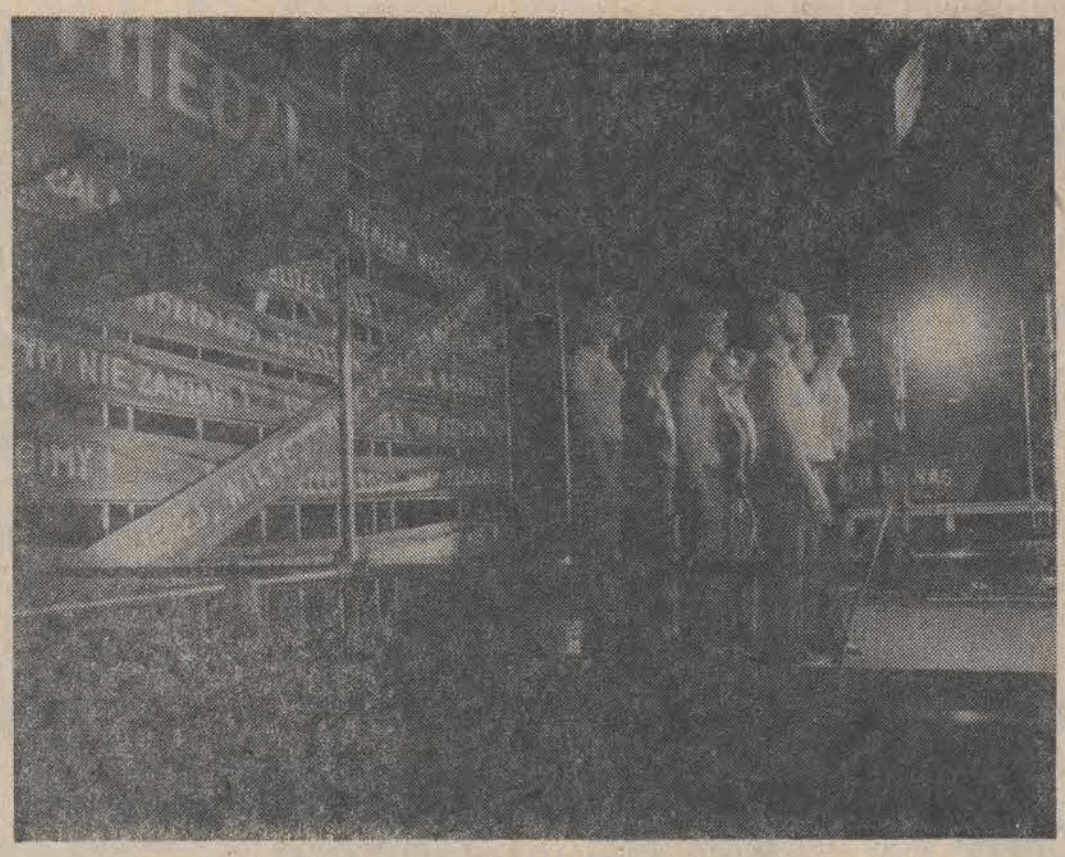

Teatr 77 „Skrzyżowanie" — 1978 r. **Foto: M. Wojciechowski**

Teatr 77 „Retrospektywa" — 1973 **Foto: J. Mendychowski**

Dalszy ciąg ze str. 1

Dziś, patrząc z perspektywy czasu na placówki Uniwersytetu Łódzkiego, śmiało można powiedzieć, iż opory te przełamano. Przede wszystkim stworzono placówkę naukowo-badawczą prowadzącą pionierskie badania w zakresie teatrologii, filmoznawstwa i telewizji (ówczesna katedra została w 1973 r. przekształcona w Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu). Prace naukowe Zakładu Teorii Literatury obejmują m. in. badania nad teorią dzieła literackiego, warsztatem pisarskim prozy literackiej, poetyką liryki współczesnej, teorią krytyki literackiej, Zakład Dramatu i Teatru interesuje się m. in. teorią dramatu i teatru, socjologią teatru, teorią i historią krytyki teatralnej.

Z kolei w Zakładzie Wiedzy o Filmie i Telewizji koncentrują się prace wokół teorii dzieła filmowego, wokół społecznych i estetycznych funkcji filmu oraz związków filmu i telewizji z literaturą.

Programem naukowym łódzkiego instytutu interesują się cudzoziemcy, którzy zjeżdżają tu na staże naukowe. Są wśród nich Amerykanie, Francuzi, Włosi, a ostatnio doktorat z teorii literatury przygotowuje Meksykańczyk.

Instytut zacieśnił także istniejące już dawno kontakty z PWSFTviT. Formalna umowa o współpracy zapewnia stałą wymianę wykładowców, a studenci uniwersytetu bywają w szkole na pokazach i projekcjach filmowych, korzystają z zaplecza technicznego.

Działalność instytutu widać w mieście. Znane są organizowane wspólnie z TPŁ coroczne spotkania dla młodzieży maturalnej z literaturą współczesną. W br. uniwersytet zainaugurował cykl otwartych wykładów uniwersyteckich pod tytułem *Wybrane problemy kultury współczesnej*. W I semestrze wygłoszono wykłady na temat filmu politycznego, francuskiej i angielskiej nowej fali i strategii sztuki współczesnej.

Spod pióra pracowników instytutu wychodzą także suplementy do dziejów teatralnej Łodzi, programy teatralne, a przede wszystkim książki o teatrze. Są wśród nich krytycy filmowi i telewizyjni stale współpracujący z łódzką prasą, są reżyserzy i kierownicy teatrów studenckich.

Mówiąc o aktywizacji życia kulturalnego w mieście dzięki placowce naukowo-badawczej nie można pominąć zagadnień związanych z kształceniem kadr dla potrzeb kultury, zwłaszcza, że jest to placówka uniwersytecka. Wspomnijmy zatem, że instytut prowadzi zajęcia z filmoznawstwa i teatrologii dla studentów polonistyki, studium podyplomowe dla nauczycieli oraz studium doktoranckie z teorii literatury, teatru i filmu.

Największe jednak znaczenie mają uruchomione w 1976 r. po długich staraniach dzienne i zaoczne studia z kulturoznawstwa. *Powołanie tego kierunku jest rzeczą niezmiernie ważną, zwłaszcza w kontekście wysokich i ważnych zadań stawianych kulturze i wszystkim działaczom w tym zakresie w uchwale VII Zjazdu. — informował przed laty „Głos Robotniczy". Istotne nowum tego modelu polega na tym, że studia nie są prowadzone na polonistyce, ale na odrębnych prawach i zasadach.*

Dziś kulturoznawstwo można studiować także w Poznaniu, w Katowicach i we Wrocławiu gdzie studia uruchomiono najwcześniej.

Łódzki program studiów różni się od pozostałych. I tutaj polemizowałabym z tymi, którzy w odmiennych programach tego samego kierunku studiów upatrują zjawisko co najmniej niekorzystne. Różne programy w różnych uczelniach, na kierunkach, na które przyjmuje się niewiele studentów (najwyżej 30 na rok) powinny być sprawą naturalną. W innych dyscyplinach, dzieje się tak od dawna, gdyż na profil kształcenia rzutują uczeni i tworzone przezeń szkoły. Etnografowie, którzy studiowali w Łodzi pod kierunkiem prof. dr K. Zawistowicz-Adamskiej są bardziej wyczuleni na społeczne aspekty kultury niż np. wyspecjalizowani w etnografii Ameryki Łacińskiej ich kolezy z Poznania, czy w etnografii Słowian — absolwenci Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podobne przykłady można znaleźć w pedagogice, psychologii, socjologii i innych dyscyplinach. Dobrze więc, że łódzkie kulturoznawstwo pod kierunkiem profesora Bolesława Lewickiego, a obecnie profesora Stanisława Kaszyńskiego, kontynuuje tradycje badań teatrologicznych i filmoznawczych.

Punktem wyjścia jest, jak to podkreślił w jednym z wywiadów prof. B. Lewicki — pogląd, iż najszerszą podstawę polskiej kultury narodowej stanowi tradycja literacka. Film i teatr to jakby aktywne elementy tego systemu, które pojmujemy jako perspektywę spojrzenia na całość zagadnień kultury artystycznej. Nasi absolwenci będą mieli merytoryczne przygotowanie do analiz ogólnych poprzez opanowanie warsztatu filmologa i teatrologa.

Kulturoznawstwo cieszy się ogromnym powodzeniem wśród młodzieży. O jedno miejsce ubiega się od 6 do 10 kandydatów. Znane są opinie, iż studia te wybierają ludzie z pewnym doświadczeniem, którzy mają za sobą studia na innych kierunkach. Dane z dziekanatu przeczą tym pogłoskom. Takich studentów jest najwyżej 2 — 3 na roku. Dwa lata temu podczas egzaminów wstępnych rozmawiałam z kandydatami czekającymi na egzamin ustny.

Na pytanie: co zamierzają robić po studiach? — odpowiadali:

— marzę o pracy w teatrze, jako kierownik literacki,

— myślę o krytyce filmowej,

— studia traktuję jako wstęp do reżyserii,

— interesuje mnie przede wszystkim krytyka teatralna.

Żadne domy kultury ani inne placówki kulturalne nie wchodziły w grę.

Poglądy te zmieniają się jednak w miarę przybliżania do dyplomu. Studenci ze studiów dziennych i zaocznych nie kryją swego rozgoryczenia i krytycznych uwag pod adresem studiów. Nie potrafią wyobrazić sobie siebie w przyszłej pracy. Są zdania, że niewiele umieją, iż uczą się wszystkiego „po trochu".

Program studiów ułożony jest pod kątem dwóch łódzkich specjalizacji. Wrażenie, iż zawiera „wszystko po trosze" mogą sprawiać najwyżej takie przedmioty jak: psychologia, estetyka, wiedza o kulturze ludowej, polityka kulturalna, wiedza o muzyce, wiedza o sztukach plastycznych, zagadnienia prasoznawstwa, które obejmują przeciętnie 30 godzin zajęć. Po głębszym zastanowieniu przyznamy jednak, iż są to przedmioty, które trudno wykluczyć z ogólnej wiedzy o kulturze. Zresztą, czy na studiach humanistycznych warto kruszyć kopie o jeden przedmiot mniej lub więcej? Zainteresowani studenci mogą z powodzeniem dokształcać się sami lub nawet uczestniczyć w w zajęciach na innych kierunkach.

Młodzież ze studiów dziennych nadal ma ciągoty w kierunku zawodów artystycznych, bądź krytyki teatru i filmu. Od pracy „w kulturze" nie odżegnują się natomiast studenci studiów zaocznych, którzy często już mają za sobą staż pracy. Mają sporo krytycznych i rzeczowych uwag co do systemu upowszechniania kultury w kraju i świadomość, iż nie są właściwie wykorzystywani.

Niski prestiż pracowników kultury potwierdza także Renata Sas w opublikowanym niedawno na łamach *Dziennika Popularnego* artykule *Kim pan jest?*. Przedstawiciele tych zawodów odczuwają brak statusu zawodowego, uznania dla tego typu pracy, którą traktują jako przejściową. Z informacji jakie uzyskaliśmy w ŁDK wynika, że wśród 276 pracowników zatrudnionych w domach kultury województwa miejskiego łódzkiego 74 posiada wykształcenie wyższe, 77 — półwyższe-specjalistyczne, 121 — średnie. 35 osób studiuje zaocznie na kierunkach humanistycznych, m. in. na kulturoznawstwie.

Nie mamy jeszcze absolwentów kulturoznawstwa. Nie sposób więc sprawdzić, w jakim stopniu są uzasadnione uwagi o programie studiów i przygotowaniu do pracy dla kultury. Ile w tych uwagach rozwianych złudzeń, a ile rzeczowego doświadczenia.

Pewne natomiast są trudności ze znalezieniem pracy dla absolwentów kulturoznawstwa, którzy jako pierwsi zrobią dyplomy w tym roku.

Z takimi trudnościami borykają się już absolwenci innych uczelni. Nic także nie wskazuje na to, aby przygotowywano wielkie zmiany w systemie zarządzania kulturą.

Z punktu widzenia polityki kadrowej kształcenie powinno wyprzedzać zapotrzebowanie na kadry. Z punktu widzenia absolwentów, którzy podjęli studia na nowo otwartych, specjalistycznych kierunkach niepewna sytuacja zawodowa jest co najmniej deprymująca. Tym bardziej, iż ludzie ci mają świadomość, iż potrafiliby wiele w kulturze zrobić.

MAŁGORZATA GOLICKA

Foto: J. Mendychowski

MOGLIBYŚMY WIELE ZROBIĆ

W dzisiejszym felietonie wrasam do wątku domu rodzinnego. Jest to prawo ptaków i ludzi, że wracają do swoich gniazd. To temat, który ożywia twórczość wielu pisarzy. Dom Jarosława Iwaszkiewicza, z którego wyprowadzono go na ostatnią drogę, to cała księga polskiej literatury. Jak wzruszająco przewija się ten wątek w twórczości Stanisława

TADEUSZ PAPIER

O DOMU RODZINNYM

Czernika. Poeta wyznaje, że cała jego poezja, może nawet i całe pisarstwo, pozostaje pod znakiem, pod nazwą, pod symbolem chaty. „Gdyby ktoś chciał jednym wyrazem określić i nazwać moją twórczość — powiada w „Domu pod wierzbami" — to tym wyrazem jedynym i najwłaściwszym — chata. A gdyby jakiś umysł mistyczny twierdził, że autorem moich wierszy jest swoisty mechanizm działający z zewnątrz na wyobraźnię i dyspozycję poety, to mógłby dowodzić, że autorem tym jest chata". Na tułaczce wojennej ta chata symbolizowała poecie całą ziemię ojczystą. W niej „zamykały się i Warszawa i Kraków, i wielkopolskie miasteczko «Okolicy Poetów», w jego rzeczce płynęła Wisła, w jego wierzbach widział i akacjowe gaje podolskie i mateczniki Białowieży. Po latach rozłąki i tułaczki poeta odwiedza dom rodzinny. Nastąpiło to wiosną 1952 roku. Pierwsze wrażenie było zaskakujące. Nie zmienił się wprawdzie układ fizyczny pagórka, łąki, doliny, „ale po dwudziestu sześciu latach wszystko, co złączone było z tym obszarem i utrwalone na stałe w mojej pamięci, wszystko to zostało zmienione całkowicie. Ani jednego drzewa, ani jednego krzewu, cały świat roślinny znany mojej wyobraźni znikł z krajobrazu". W tym zmienionym krajobrazie pozostał jednak przedmiot kultu poety, dom rodzinny, też nieco zmieniony, ale nie za bardzo. Przypomnijmy opis Czernika: „Przed dwudziestu sześciu laty dom chylił się do upadku, był stary, wiek jego potwierdzały bujne mchy zielonawordzawe na strzesze. Żegnałem go, jak młody człowiek żegna starucha. Po dwudziestu sześciu latach ujrzałem, że nie upadł, nabrał czerstwości, odmłodniał, zmieniając strzechę na dach gontowy, mocno już także dotknięty patyną. (...) Powstała elegijna atmosfera — autentyczna i trochę literacka, gdy włączyły się do przeżyć reminiscencje z literatury". Z tych wzruszeń rodzi się elegia, która kończy się następująco:

Witajże po tych latach.
Wśród śliw, wśród czereśni
Uśmiechasz się — że
mogliśmy się spotkać
wcześniej.
Tak. Ale dobrotliwie rękę
klamki podasz,
Jak ojciec, archont polny,
twój pierwszy gospodarz.

Przyszedł koniec i na dom. Poeta był przeświadczony, że ten dom przeżyje ich wszystkich, przeznaczony na jakieś rodzinne muzeum, kapliczkę czy bodaj lamus na rzeczy i pamiątki. Rodzinne muzeum! Czego by w nim nie było: „W kącie stary pług o drewnianych czepigach, powiernik młodzieńczych poezji rolniczych. Koła, rozwory, dyszle różnych wozów... pędzel z ryżowej słomy z okresu bielenia ścian. Pusta kadź z opuszczonej smolarni... Jeniecka menażka, co przywykła płakać w barłogu na betonie... Urna wykopana podczas sadzenia wisienki nazwanej „Archeologią"... no i drabina do gwiazd, która wyśniła się, gdy gwiazdy jeszcze nie wzeszły". Nie ma domu muzeum. Ale zostało marzenie — zostało życie tego domu zapisane w wierszu, w powieści. Zostali jego mieszkańcy. Nie ma już dzisiaj poety. A przecież on jest. Czernik pisał w wierszu o domu rodzinnym:

...pozostaną
te słowa o mnie. A to
znaczy:
Cień cienia. W twoich
słowach tylko —
Tu na tej kartce — się
spotkamy.
Ja, dom i ty, i wszyscy,
którzy
Kochali mnie...

Mój dom rodzinny także umarł. Pamiętam dom dziadów, ciekawe łączenie ścian, belki wiązały się w narożach na węgieł, zacinany na „rybi ogon", a ściany boczne wpuszczone były w słupy. Dach był pokryty zrudziałą słomą. Odeszli mieszkańcy tego domu, a przecież i dom i ci ludzie są dla mnie obecni. Moją powieść „Powtórna śmierć Boryny" dedykowałem Lipcom — wsi Reymonta i Janinie — wsi ojca. W tej wiosce ojciec się urodził i w niej został pochowany. W książce wskrzesiłem i dom, i ojca, i matkę, i znajomych. Co prawda, dom powieściowy jest zbudowany z różnych elementów, i takich, które istniały naprawdę, i takich, które gdzie indziej widziałem, tak samo i losy ludzi są podporządkowane konstrukcji powieści, ale dusza tego domu jest prawdziwa i dusze ludzi są także prawdziwe. Zresztą czy pisarz, który czerpie pomysły do powieści z tak zwanej rzeczywistości, portretując w książce znane mu postacie, zmieniając losy swoich bohaterów — czy w ten sposób nie dochodzi do ich głębszego poznania? Mnie się wydaje, że w każdej nowej powieści kiedy piszę o człowieku mi znanym, ten człowiek, niezależnie od tego, w jakim stopniu jego losy w powieści różnią się od rzeczywistych losów, staje się coraz prawdziwszy, coraz bliższy temu wizerunkowi, jaki kiedyś ludzie znali.

Mówiłem na wstępie o Czerniku, gdyż wydaje mi się, że motyw chaty, o którym pisał poeta, jest bardzo istotnym motywem naszej twórczości. Różne mogą być rozumienia owej chaty. Ja nie przyjmuję do wiadomości fizycznej śmierci domu, albowiem nie chodzi mi tylko o sentyment do starego gniazda. Pisząc o domu zdajemy sobie sprawę, że te spoiwa, które kiedyś wiązały ową chatę, na skutek przemian społecznych i gospodarczych albo zanikają, albo się zmieniają. A przecież, jak czytam w jednej z recenzji o mojej książce, w której rozwijam wątek domu rodzinnego (mówię o „Cichych jeziorach"), choć awans społeczny i dobrze wykorzystane możliwości rozrzuciły dawnych mieszkańców po kraju, podzieliły na wąskie specjalności, rozpad jednak nie nastąpił, więź rodzinna okazała się silniejsza. „Przebudowano i unowocześniono chłopski matecznik, wyposażono w wodę i elektryczność, maszyny rolnicze i telewizor i ten matecznik żyje, trwa jak przechowalnik, wciąż jest miejscem rodzinnych spotkań, gniazdem, do którego powraca ptak. Jest także miejscem społecznej konfrontacji z latami, które przeminęły". I to wydaje mi się najważniejszą funkcją nowego domu, właśnie owa konfrontacja, wieczna rozmowa, wzajemne przekonywanie się. Zgadzam się z moim krytykiem, że ta jedność rodzinnego domu dzisiaj może być jeszcze bardziej spoista, „powiązana nie tylko pamięcią, wspólnotą losu, rodowodem, ale i wspólnymi zadaniami dnia dzisiejszego".

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

LORELEI

Niepomna na bardzo skromne możliwości finansowe, równo w tydzień od mojego tu przyjazdu, poszłam w końcu do tej osławionej Lorelei na herbatę. Mocno słodka, utrzymana, jak najmodniejsza kiecka od Diora, w kolorze jasny beż, ale była. Czułam się głupio. Kandelabry, plusze, jakieś ni przypiął ni wypiął, dorożkarskie lampy zwisające z plafonu nad każdym stolikiem. Ale mrocznie. Prawie pusto. Jacyś dwaj dżentelmeni sztywni i godni z nieodłącznymi cygarami. Jakaś dama grubo po czterdziestce, wypindrowana aż strach, z baterią kolorowych kieliszków przed sobą. Jacyś młodzi i obszarpani (Boże, ileż takie *obszarpanie* kosztuje w tutejszych butikach). I ja, w sukienusi z białym kołnierzykiem, z jasną herbatką przed sobą, z najtańszym papierosem w garści. Już nigdy więcej tu nie przyjdę — przyrzekłam sobie i wtedy w drzwiach pojawił się on. Taki anglosaski blondasek bez określonego wieku, uśmiechnięty, pogodny, zadowolony z całego świata, naturalnie w dżinsach, naturalnie z plikiem kolorowych czasopism pod pachą. Co jak co, ale papier tu mają najwyższej klasy. Stoi przy drzwiach i patrzy. Stolików pustych pełno dookoła, puste gabineciki, a on podchodzi i pyta o coś. Zdezorientowana, zdenerwowana nie bardzo rozumiem.

— *Cudzoziemka?*

— *Tak, Polka.*

On — Włoch. Włoch i taki jasny?

Francuski znam ledwo ledwo, z lektoratów na studiach i z rozmówek polsko-francuskich. Więc w ramach ogólnej konwersacji mogłabym ewentualnie zapytać: *proszę pana, która godzina;* ewentualnie *ile kosztuje ta smażona wątróbka? Z nieco* mieckim troszkę lepiej. Czytam prawie bez pomocy słownika, ale nie mówię, nigdy nie próbowałam. Zresztą czytam teksty już klasyczne i słownictwo w rodzaju: *Um dein Haupt ein Kranz welker Blumen* też nie bardzo nadaje się do podtrzymywania rozmowy. Jestem tak bardzo speszona, iż dopiero po interwencji kelnera zorientowałam się, iż mój towarzysz zamówił dla mnie lampkę burgunda i jakiś fiołkowo różowy napój w fiołkowo różowej szklance z fiołkowo różową słomką pełen podrobionego lodu, jakiś dziwacznych owoców w środku i też z alkoholem. Nie znam tutejszych obyczajów. Jeżeli będę musiała za to zapłacić, to koniec. Przez co najmniej tydzień o suchym pysku. Moje zdenerwowanie przekracza już granice zdrowego rozsądku. Chcę wypić to jak najszybciej, wyjaśnić sprawę płacenia, i uciekać z tych luksusów do mojej nory, gdzie czuję się bardzo opuszczona, ale za to znacznie niż tu pewniej.

Ach, cóż mnie obchodzi, kim on jest? Ekonom? Ekonometra? Ekonomista, chyba do cholery!

Delegowany z Włoch do koncernu? Co to znaczy delegowany z Włoch do koncernu?

Więc krzyczę zdenerwowana:

— *Płacić!*

— *Ależ nie.*

I następny kieliszek burgunda przede mną.

Już jestem spokojniejsza. Ale tu znowu Kobieta—Polka oburza się we mnie: *za kogo on mnie ma? Cholera, jakie tu są obyczaje?*

Czy pójdę z nim do dyskoteki? Chyba o to pyta?

— *Pójdę, naturalnie, że pójdę* — mówię — *żeby się jak najszybciej wyrwać z tej zakazanej Lorelei.*

— *Muszę się przebrać, rozumiesz? Zła sukienka* — pokazuję na kołnierzyk. *Lepsza w domu* — rozumiesz.

Kiwa głową, że tak i uśmiecha się głupio. Zresztą cały czas się głupio uśmiecha.

I ciągnie się za mną do mojej speluny, co jest zresztą moją winą, bo w żaden sposób nie mogę przypomnieć sobie zwrotu: niech pan poczeka na ulicy. Cały czas gadam: ulica czeka, ulica czeka. I bidaczyna pewnie myśli, że jestem zwolenniczką surrealizmu. Włazi po tych śmierdzących schodach lekko zaczadzony i zdaję sobie sprawę, iż dopiero widok mojej komnaty go porazi. Rozbebeszona otomana, landszaft ze słodką harfistką, stół, pełniący funkcję toaletki damy, lodówki, biblioteki, szafy, biurka, i wreszcie na końcu miejsca, przy którym się jada. Wszystko mi już zresztą jedno. Nie próbuję mu nawet tłumaczyć, że z natury wcale nie jestem taka biedna, tylko że tu jestem na stypendium. I że jestem mało zaradna i mało gospodarna, a jeszcze muszę sobie kupować książki i przywieźć jakieś drobiazgi przyjaciołom oraz rodzinie.

Udaje, że moje luksusy nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Cały czas na zadowolonej gębie głupi uśmiech.

— *Byłam bardzo radosna, gdyby pan był odwrócił* — mówię, a on naturalnie za cholerę nie wie o co mi chodzi.

— *Lubię, gdyby pan odwrócony* — mówię, a ten się tylko głupio uśmiecha. Odwracam go więc tyłem do stołu-garderoby i krzesła-bieliźniarki i grożę palcem przed nosem. Rozumie!

Przebieram się najszybciej i nie najmądrzej. Wyciągam go z aparatamentu nie doubrana, nie domalowana i nie domyta. Idziemy na piechotę, bo blisko. Cały czas milczę i, jak on dotąd, głupio się uśmiecham. On natomiast rozmowny! Rozumiem piąte przez dziesiąte. Zrezygnował już z francuskiego i przeszedł na niemiecki. Ale do mnie trzeba mówić głośno, wyraźnie i, jak głucha, muszę patrzeć na usta.

W dyskotece jak w dyskotece. Gdyby on nie był taki nudny z tym monotonnym ględzeniem nie wiadomo o czym, to byłabym nawet zadowolona. Nie śniło mi się nawet, że tu będę. Na półrozebrane histeryczki ze złotymi żyletkami na szyjach kręcą w zawrotnym tempie jednocześnie czochrając sobie koafiury. Ogolone na łyso łby ich towarzyszy lśnią od potu, jak nie przymierzając księżyce. Tłok, śmierdzi. Całe szczęście, że ten mój z łaski bożej partner nieco bardziej normalny. Piję znowu jakiś sok z winem z owocami i lodem, tylko zupełnie zielony. Nawet konwersuję zdając sobie sprawę, że polski odpowiednik tej ożywionej wymiany myśli wygląda mniej więcej tak: *ja noszę kalosze, ty nosisz kalosisz.* Jeszcze jeden soczek — tylko taki coś, nawet w zapachu, pomarańczowy i jestem już zupełnie naturalna, z zapałem opowiadam o Księciu Józefie Poniatowskim i babie, od której wynajmuję norę, a która ze mnie zdarła. Opowiadam o tym, jak bardzo jestem samotna i że mam trzydzieści lat i co Kirka powiedziała. Ale tak naprawdę cały czas chcę wracać do siebie. W mojej samotni jest mi najlepiej. Poza tym mam dużo pracy. Wychodzimy w końcu. Zostawia mnie przed bramą i, zdaje się, wcale się nie umawia.

Nazajutrz budzę się z ogromnym kacem moralnym. Szybko myję się i lu, bez śniadania nawet, sprzątam to moje pobojowisko. Garderoba ze stołu odnajduje swe właściwe miejsce na taborecie, kosmetyki na parapecie. Stół zaczyna pełnić więc tylko funkcje stołu, spiżarni i biurka. Przy okazji odnajduję tomik Dhemla, drugie wydanie, który gdzieś mi się zapodział, a przedwczoraj był bardzo, bardzo potrzebny. Do biblioteki już nie pójdę. Myję się po raz wtóry, czeszę porządnie. Staram się ubrać jak najschludniej. Do taniej knajpy też nie idę. Nie chce mi się. Zjadam jakieś stare pokruszone i nadwiędłe resztki sera, popijam wodą z kranu i przed sobą udaję, że... nie czekam. Robi się w końcu tak późno, że wszelkie czekanie jest łudzeniem samej siebie. Wyskakuję do narożnego sklepiku po bułki. Jakież tu mają paskudne pieczywo! Kupuję jakąś marmoladę, wodę mineralną i kawę zbożową. Do późnej nocy czytam Dhemla, który wydaje mi się głupi oraz nudny. Po co tutaj przyjechałam? Listu do domu nie napiszę. Muszę to sobie wszystko przemyśleć porządnie. Mam czas. Będę miała bardzo dużo wolnego czasu...

Drugi dzień czekania: mycie, sprzątanie, zjadanie okruszyn, kartkowanie znienawidzonego Dhemla. Rozpamiętywanie moich klęsk domowych.

Trzeci dzień czekania: jak wyżej.

Czwartego dnia rano zrywam się z łóżka koło południa, myję, wkładam kieckę, która się akurat nawinęła pod rękę, czeszę się w biegu, prawie nie maluję i gnam, też bez śniadania, bo późno — do biblioteki. Jakaś mała kawa w pobliskiej kawiarence, jakiś rogalik (i jak ja tu mogę mieć piehlądze) i wsiąkam dla świata... Do opamiętania przywodzi mnie bibliotekarka, której bardzo przykro, ale. Rozumiem: zamykają czytelnię. Ze zmęczenia kołuje mi się w głowie. Znowu kawiarnia, duża kawa, dwa rogale, tort. Trudno. I pędzę do siebie. Właże po tych moich śmierdzących schodach i... przed moimi drzwiami siedzi w kucki on. Wprowadzam go do środka. Bardzo się śmieje. *Co jest?* — pytam zła. A on nic, tylko się śmieje. Patrzę w lustro, cały nos mam utytłany w atramencie. Jestem wściekła. Myję się za parawanem.

— *Nie mam cię czym poczęstować, chyba, że poczekasz chwilę i wskoczę do sklepiku.*

Nie! — Ciągnie mnie do restauracji. Jestem naprawdę bardzo zmęczona. Nawet nie usiłuję z nim rozmawiać. Tępo wpatruję się w adamaszkowy obrusik, zastanawiając się jednocześnie ileż roboty dziś odwaliłam. Jak tak dalej pójdzie, to wrócę znacznie wcześniej. Bo co tu robić? Kelner podaje ostrygi i czerwone wino. Szlag, jeszcze tego nigdy nie jadłam.

— *Uważaj* — mówi głośno i wyraźnie, bo już wie, że tak trzeba — *każdą sprawdzaj widelczykiem, o te rzęski, jeśli się nie poruszy, to znaczy, że już nieżywa i możesz się zatruć.*

— *Co ty mówisz, powtórz* — znieruchomiałam z tym moim widelczykiem w ustach. *Rany boskie!*

Odprowadził mnie do domu. Przez całą drogę był tak śmiertelnie poważny, iż z absolutną pewnością wiedziałam, iż skręca się od powstrzymywanego śmiechu.

— *Chcesz wejść?*

— *Jeżeli...*

— *Proszę!*

Wypakowałam ostatnią paczkę Chinaru. Wyciągnęłam grzałkę. Zaparzyłam dwie herbaty. Mocne jak szlag. Cukru nie miałam, bo nie używam. Boże, jak się skręcał, ale pił. A masz, moja zemsta!

Okazał się zresztą całkiem miły. Ma być tu przez trzy miesiące. Też tęskni za domem, a właściwie za dziećmi. Dziewczynka i chłopczyk. Z żoną jakieś komplikacje.

— *Ale nie mówmy o tym* — powiada.

Pytam wreszcie:

— *Chcesz zostać?*

Gdy budzę się rano, już go nie ma. Na biurko-stole list włoskofrancuskoniemiecki. Przyjdzie około piętnastej. Prosi, żebym czekała. Jestem trochę urażona, więc postanawiam, iż właśnie wyjdę do biblioteki. Myję się. Ubieram. Porządnie czeszę. Pozwalam sobie na luksus wypicia dobrej mocnej herbaty. Otwieram ostatnią, zachowaną na czarną godzinę, paczkę przywiezionych z kraju papierosów. Jest dopiero dziesiąta. Wchodzi. Na szczęście bez kwiatków. Witamy się jak dobrzy koledzy. Przez podanie ręki.

Jestem bezlitosna: poczekaj, zaraz zaparzę ci herbaty. Wytrzymuje to heroicznie.

Mówi głośno i wyraźnie: *słuchaj, co byś powiedziała, gdybyśmy zamieszkali razem. Pracujemy w różnych godzinach, więc nie będziemy sobie przeszkadzali, a wyciągnę cię z tych brudów.*

— *Mnie tu dobrze!*

— *Nie wygłupiaj się!*

— *Nie mam pieniędzy. Tylko na takie mieszkanie mnie stać! Ani grosza więcej nie mogę zapłacić!*

— *Pakuj bety!*

— *Powtarzam, czy ty rozumiesz człowieku, że ja nie mam pieniędzy!*

— *To będziesz mi płaciła całkiem taką sumę, jaką płacisz tej babie.*

Opadają mi ręce. Idzie do gospodyni i po chwili wraca, udając, przecież aż tak głupia nie jestem, że mu zwróciła mój czynsz wypłacony z góry za trzy miesiące. Wiezie mnie fiatem do dzielnicy luksusów. W prywatnym pensjonacie melduje się jako pan i pani Nick (nikt nie sprawdza żadnych wiz, paszportów — jak on to załatwił).

Boże, jak pięknie. Biały przedpokoik z pomarańczowymi szafami i pomarańczową dywanową wykładziną. Białopomarańczowa łazienka, cała w lustrach. Pokój. Biała tapeta, biała welurowa firano-zasłona, pomarańczowy dywan, granatowy tapczan małżeński przykryty pomarańczowymi puszystymi kocami, granatowobiałe biureczko, granatowobiała toaletka. Nad małżeńskim tapczanem wisi reprodukcja munchowskiego *Krzyku.* Nieprawdopodobny pomysł. Pomysł upiorny. Zdaję sobie sprawę, że projektant potraktował arcydzieło Muncha jako barwną plamę rozbijającą ugrzeczniona, uładzoną, wydelikaconą całość.

Wskakuję w butach na łoże. Ściągam obraz i... bezgraniczne zdziwienie: główka gwoździa przedstawia... jakby to nazwać — motylka, czy co. Jest wielka i straszliwie ten motylkowad jest pokraczny.

— *Zobacz, to u was też takie gwoździe robią? Też motylki podrabiają?*

— *Madonna mia! A skąd ja mam wiedzieć, jakie gwoździe u nas robią? Myślisz, że im się przyglądałem?*

Zawieszam z powrotem obraz, ale na odwyrtkę. Na białej ścianie burozielona plama.

— *Rozpakuj się* — mówię — *zaraz wrócę.* — I biegnę do jakiejś księgarnio- drogerio-apteki i kupuję, za psie na szczęście pieniądze, tandetną reprodukcję Giocondy w hojnie rzeźbionych ramach z białego plastyku.

Zawieszam mój nabytek na ścianie. Jest dużo lepiej. Mniej głupio w każdym bądź razie.

— *Nie lubisz dzisiejszego malarstwa* — pyta.

— *Jezus, Maria!* Dla niego Munch to „dzisiejsze malarstwo". — *Uwielbiam Muncha, tylko że tu ten Krzyk nie pasuje!*

— *A dlaczego...*

Wiem o co chce zapytać... A dlatego, że tam to był wynajęty pokój, rozumiesz, a tu chcę, no chcę, żeby tu był dom...

Oboje jesteśmy przerażeni. W zdenerwowaniu porządkuję swoje rzeczy. Biorę jakieś zeszyty, całkim nie te notatki i lecę do biblioteki. Siedzę do końca. Gdy wracam, nie ma go na szczęście.

Szybko kładę się spać. Budzę się prawie w południe. Na stole kartka: *Przyjdę około szóstej. Jeśli chcesz — czekaj. Pójdziemy na obiad.*

Na szczęście żadnych numerów telefonu, żadnych adresów. Żadnych zobowiązań.

Fragment powieści „Wielcy artyści mojego pokolenia"

FILM

DOM

Charakterystyczne, że w polskich filmach rzadko można napotkać sylwetki robotników, którzy swoją postawą wymykaliby się kufajkowemu stereotypowi, jaki nawet w sytuacjach najbardziej serio zdradza już wizualnie rodowód buffo. Częściej robotnicy pojawiają się na ekranach grupowo, w postaci słabo zindywidualizowanej (było tak w „Dyrektorach" i w „Gdzie woda czysta...") Bohaterom widzącym szerzej może być raczej działacz, lub menager przemysłowy, którego postawa ma nierzadko szansę (i może równie nierzadko retorycznie), wyrażać przekonania masowe Wśród nielicznych odstępstw od tej reguły postaciami najbardziej pamiętnymi byli bohaterowie „Człowieka na torze" i „Człowieka z marmuru" — marzynista Orzechowski i murarz Birkut. Następną jest górnik Habryka z najnowszego filmu Kazimierza Kutza — „Paciorki jednego różańca". Wszystkich trzech łączy pewne podobieństwo losów (są reprezentantami czasu już minionego w coraz bardziej bezwzględnej wobec niego współczesności) i dzielą epoki, w których rozgrywają się ich tragedie. Wszystkie trzy filmy łączy postawa publicystyczna, wobec której wartości artystyczne w sposób naturalny schodzą na plan dalszy.

W filmach Kutza „Sól ziemi czarnej" sprzed lat jedenastu i „Perła w koronie" sprzed lat dziewięciu, układem odniesienia do rozgrywających się wydarzeń była archaiczna z punktu widzenia współczesności kultura plebejskorobotnicza Śląska. Jej ekranowym przejawem był rodzinny dom — symbol wartości niechętnie poddających się upływowi czasu, niewrażliwych na przemiany historyczne. Dom — uosobienie tradycji rodowej, narodowej i klasowej, wartości decydujących o społecznej integracji, wreszcie symbol polskości — zostaje w „Paciorkach jednego różańca" uwikłany w dramatyczną konfrontację ze współczesnością.

Opozycja, która staje się osią dramaturgiczną filmu jest w sposób oczywisty publicystyczna: bohater filmu — zasłużony górnik (powstaniec, żołnierz, przodownik pracy) odmawia przeprowadzenia się ze starego domu, który otrzymał niegdyś na własność, do nowowybudowanych bloków. Film rozpoczynają sekwencje ostatnich chwil starego osiedla. Przed domkami, w ogródkach, płoną stosy sprzętów gromadzonych przez lata, dla których nie ma miejsca w M-3. Tłum wysypujący się z ciężarówek i wozów meblowych szturmuje wąskie drzwi jedenastopiętrowca. Stare domy i drzewa już nie istnieją; miejsca, gdzie stały przez lat pięćdziesiąt i jeszcze przed godziną, wyrównują już spychacze. Film realizowany był w autentycznych plenerach śląskich, gdzie prawdziwe osiedla domków z początku wieku wyburzają potężne koparki wówczas, gdy obok straszą już swoją nieotynkowaną jednakowością ogromne wieżowce Z obserwacji prawie dokumentalnej, poprzez fikcyjną fabułę i ambicje publicystyczne, osiąga utwór Kutza — dzięki zastosowaniu konwencji tylko do pewnego stopnia realistycznej — wymiar metaforyczny wobec rzeczywistego problemu.

Bohater filmu, widząc ostatnie chwile swoich sąsiadów na górniczym osiedlu, postanawia nie ruszyć się ze starego domu. Chce być w miejscu, w którym przeżył całe życie: trzy powstania, dwie wojny, przedwojenne strajki. W centralnych planach Habryka został jednak zaprogramowany, jako ten, który chce nie być, ale mieć: ciepłą wodę, gaz, windę. Skontrastowanie starego domu z nowym budownictwem byłoby w powszechnej sytuacji mieszkaniowej zabiegiem ryzykownym, gdyby nie wyraźna metaforyzacja wydarzeń fabularnych. Bo przecież głównymi stronami w konflikcie nie są stary Habryka i współczesny technokrata — dyrektor Malczewski, ani nawet wspomnienie niegdysiejszej świetności starego domu i wizja ujednolicenia w „betonowych szufladach". Opozycja zasadnicza przebiega na granicy widzenia wolności i celu życia przez władzę i przez jednostkę. W momencie, gdy ludzi widzi się już tylko jako niezindywidualizowaną masę — zaspokojenie jej potrzeb odwraca niebezpiecznie perspektywę spojrzenia. Pojawiające się w filmie na budynkach kopalni hasła o społecznej jedności i o dobru człowieka mogą zawierać groźbę wewnętrznej sprzeczności. Produkcja, wydobycie, stają się ważniejsze od ludzi. „Ludzie są głupi" mówi Habryka „niewiele widzą poza telewizor, lodówkę i inne malowane blachy". Jednocześnie swoją postawą Habryka udowadnia, że oczekiwania człowieka — wówczas gdy spojrzy się na niego oddzielnie, indywidualnie — wyglądają zupełnie inaczej. Okazują się o wiele bardziej skomplikowane, ale zarazem o wiele bardziej ludzkie.

Po ostatecznej rozmowie z dyrektorem, po wyczerpaniu wszystkich argumentów i desperackim zaminowaniu swojej „placówki", stary Habryka zasypia na progu domku. Podjeżdżają czarne, dyrektorskie wołgi. W uznaniu dawnych zasług dzisiejszemu anarchiście zostaje przydzielony nowoczesny domek jednorodzinny — tzw. segment. Sen jakby trwał nadal. Protest i rezygnacja zespalają się w jedno w wizji luksusu w nieznanej dzielnicy, bez dawnych sąsiadów, daleko od rodziny. Powraca pojawiający się przez cały film motyw uwznioślenia losów starego górnika — może już ostatniego, który miał tak pełną świadomość sytuacji historycznej, w jakiej się znalazł. Czas buntu już skoczony, czas rezygnacji trwał krótko. Śmierć bohatera i sekwencja jego pogrzebu nadają przedstawionemu przez Kutza światu wymiar podwójnie tragiczny. Odejście Habryki jest zarazem ostatecznym zamknięciem epoki, która zakończyła się już dawno. Umarł jeden z ostatnich robotników, może ostatni z wielkich górników — których świadomość ukształtował świat ostrych przeciwieństw klasowych opisany w poprzednich filmach śląskich Kutza. Obecnie gdy dawne wartości zostały utracone — gdzieś, na etapach coraz intensywniejszej produkcji, gdy zachwianiu uległy najbardziej podstawowe więzi — pomiędzy ojcem i synem — obiektyw kamery Kutza wpatruje się w scenie pogrzebu Habryki w twarz jego wnuka. Tak, jakby można było z niej wyczytać po etapach walki i rezygnacji obietnicę dialektycznej syntezy.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

POEZJA

STROFY O PRACY

O temacie pracy w literaturze mówimy często, przeważnie jednak w kontekście prozy — powieści, noweli. A przecież jest to piękny i bogaty motyw polskiej poezji — od Biernata z Lublina z wieku XV po utwory poetów współczesnych. Od słynnej „Officyna ferraria" Rożdzieńskiego z wieku XVI po „Przędzalnię" Andrzeja Niemojewskiego z przełomu XIX i XX wieku.

Niedawno nakładem Wydawnictwa „Iskry" — które rozpoczyna bardzo interesującą serię antologii poetyckich, ukazał się duży tom wierszy „Strofy o pracy". Autorami antologii są Grażyna Konecka i Ryszard Matuszewski. Nie trzeba oczywiście dowodzić jak potrzebna jest taka księga — i nie dziwi nas wysoki, bo 25 tysięczny, nakład tej antologii.

Pomieszczono w niej wiersze o pracy blisko 100 polskich poetów — od Biernata z Lublina urodzonego w 1465 roku po Józefa Barana, urodzonego w 1947 roku. Juliusz Wiktor Gomulicki zatytułował niegdyś swoją cenną antologię — „Cztery wieki poezji o Warszawie". Podobnie mógłby brzmieć tytuł antologii Koneckiej i Matuszewskiego — zawiera ona bowiem utwory o pracy pisane przez polskich poetów na przestrzeni prawie czterech wieków.

Jest rzeczą oczywistą, że w kraju tak wybitnie rolniczym jak Polska przedrozbiorowa, większa część poetyckich wzmianek o pracy dotyczy zajęć związanych z gospodarowaniem na wsi. Na tym tle jakże ciekawie i osobliwie brzmią wiersze opisujące prace wówczas osobliwe — w kopalniach rudy i hutach (wspomina już „Officyna ferraria") czy w wielkich kopalniach soli, której poświęcił swój poemat spolonizowany Szkot występujący pod przybranym nazwiskiem Andrzeja Lechowicza.

W poezji XVIII wieku wzmianki poetyckie na temat pracy mają charakter moralizatorski. Panowały wówczas w kraju rozprzężenie i nieład — taki ton był wówczas konieczny i w tym tonie pisali Ignacy Krasicki czy Franciszek Karpiński.

Romantyczna opozycja na minimalizm pseudoklasyków sprawiła że poeci tego okresu problematyce pracy poświęcali mało miejsca. Aby jednak w antologii nie zabrakło Wieszcza autorzy tomu zaprezentowali fragment pierwszej księgi „Pana Tadeusza" — „Gospodarstwo".

Wiek XX przyniósł rozwój przemysłu i właśnie on zaczyna dominować w wierszach o pracy współczesnych poetów. Jeszcze Leopold Staff pisze o orce i siewcy — ale jednocześnie rodzą się tuwimowskie strofy „Śląsk śpiewa", Słonimski pisze „Pieśń górników", a Broniewski „Łódź", „Zabrze" i „Zagłębie Dąbrowskie". Jeszcze autentysta Czernik opisuje kopanie ziemniaków, ale jednocześnie skamandryta Braun sławi pracę murarzy, kowali, szewców i zegarmistrzów... W panoramie polskiej poezji o pracy nie brakuje właściwie żadnego zawodu — każdy wysiłek znajduje tu swój poetycki ekwiwalent — Julian Przyboś sławi ręce sprzątaczek, a Leopold Lewin opisuje trud drwali; Anna Kamieńska pisze wiersz „Pieczenie chleba", a Jan Bolesław Ożóg składa poetycki hołd nauczycielom.

Łódź także jest obecna w tej antologii. Piszą o niej wprost Broniewski, Braun i Jastrun — odnajdujemy ją w wierszach innych poetów. Myślę, że może za mało jest w tej księdze wierszy z lat pięćdziesiątych. To prawda, że wiersze z owych lat cechowała pewna naiwność, ale gdyby ich nie zabrakło — antologia mogłaby stać się także cennym dokumentem literackim współczesności.

Niemniej jednak jest to księga bardzo wartościowa i bardzo potrzebna. Tak jak potrzebna i cenna jest cała „antologiczna" seria Wydawnictwa „Iskry".

JERZY WILMAŃSKI

„Strofy o pracy" Wyd. „Iskry" 1980.

TELEWIZJA

POGODA DLA TELEWIDZÓW

O świątecznym programie TvP powinienem napisać ciepło. Tym bardziej, że za oknem najpierw szalała śnieżyca jak w jakim styczniu, a i potem aura nie sprzyjała fascynacjom wiosennych spacerów. Z czystym sumieniem zatem można było rozsiąść się przed telewizorem: nikt spośród telewizyjnych zapowiadaczy nie próbował nawet odwieść nas od tego zamiaru rozmaitymi apelami w rodzaju „biegaj razem z nami" czy „wyjdź na spacer". Wprost przeciwnie. Prezenterzy dwoili się i troili, aby ułatwić nam orientację w całym tym embarras de richesse. Owo bogactwo, już w stricte materialnym sensie, było głównym motywem działania większości bohaterów, którzy w święta gościli na małym ekranie.

Mało kto się spodziewał, że wyświetlony przed kilkoma dniami „Klan Sycylijczyków" rozpęta istny festiwal filmów z supergwiazdą francuskiego kina Alainem Delon. Prawdziwi wielbiciele tego amanta nie zwracali już uwagi na sztancę fabularną wedle której wszystkie te filmy skonstruowano. „Klan Sycylijczyków", „W kręgu zła" i „Skok na kasyno" (pomijając już obraz Terence'a Younga „Samuraj i kowboje" w którym, na co wskazuje tytuł, nałożyło się kilka sztanc) mają ten sam punkt wyjścia: extra-gangster-recydywista opracowuje kolejny wielki skok. Aby rzecz była warta zachodu, muszą w grę wchodzić ogromne pieniądze, albo niesłychanej wprost wartości kolie i inne bransolety. Clou wszystkich tych filmów, to oczywista sam „skok" — czym bardziej wymyślny, tym bardziej nas wciśnie (przynajmniej w założeniu) w fotele. Filmy z Delonem (dwukrotnie towarzyszył mu sam Jean Gabin — złoczyńca jeszcze świetniejszy) nie są prymitywnymi historyjkami o złodziejach i policjantach. Co to, to nie! Przewrotność psychologiczna tych dzieł polega na tym, iż mimo licznych trupów Alain Delon (takoż Gabin) zachowuje gangsterską czystość i niczym niezmąconą sympatię widzów. Co innego ta nieprzebierająca w środkach policja, a to zakłada mordercom kajdanki, a to posłuży się pięścią, a to tropi tych biednych włamywaczy z pomocą całych dywizji itd. itd. Nic też dziwnego, iż blady z emocji widz aż do bólu zaciska kciuki i szepce w zdenerwowaniu: „żeby im (tzn. Delonowi i spółce) się tylko udało". Niestety głupi przypadek, bo nie policja, sprawia, iż sprawiedliwości stanie się zadość. Można tylko liczyć, że Alain Delon — jeśli nie zostanie zabity — po odbyciu kolejnej odsiadki, wreszcie tych gburowatych komisarzy przechytrzy. Ale na to wypadnie poczekać do świąt Bożego Narodzenia.

Chęć łatwego wzbogacenia się kierowała również losami innych bohaterów świątecznego programu. Oto spaghetti-western pod obiecującym tytułem „Szczerozłoty szeryf". Jak w serii filmów z Delonem scenarzyści traktowali swojego przyszłego widza w miarę poważnie, tak tu przestali się liczyć z nim zupełnie. Oszust nabierał oszusta, a tego z kolei próbował nabierać kolejny oszust. Ta przerzucanka sztabkami złota kończy się finałem, który byłby do zaakceptowania w taniutkiej parodii. Nieoczekiwanie dla sieble zarobił pięć tysięcy (przedwojennych!) Nikodem Dyzma w pierwszym odcinku nowego serialu Jana Rybkowskiego i Marka Nowickiego. Lecz ten (tzn. Dyzma) przynajmniej zdeterminowany był wilczą strukturą kapitalistycznych stosunków społecznych. Kapitalistów nie będziemy żałować.

Świątecznie nastrojony prowadził „Studio 8" Bronisław Cieślak. Jak zwykle z werwą, zadziwiającą kondycją i nie bez cieniutkiej ironii wobec nas — telewidzów. Dobrze nam tak. Trzeba było poczytać Gadamera, Ryana albo inny bestseller spod lady, a nie regulować ostrość przed pierwszym odcinkiem drugiej serii „Pogody dla bogaczy". Sukces fabuły Irvina Shawa spowodował, iż trzeba było szybko ów sukces dyskontować. Jak to będzie wyglądało w całości dowiemy się jesienią. Rozrywkowo-bezkonfliktowy program „Studia 8" miał jeden wyjątek, a mianowicie rzecz pod tytułem „Stały fragment gry" autorstwa Ireneusza Englera; reportaż o Zdzisławie Sławucie, który oto odważył się napisać podanie o zwolnienie z drugoligowego Rakowa Częstochowa i przeszedł do ŁKS. Reportaż miał być „odważnym głosem w dyskusji" na temat kaperownictwa i kontekstów finansowych z nim związanych. Tylko że „afera Sławuty" nie jest tu akurat przykładem najszczęśliwszym, bo przejście zawodnika z drugiej ligi do pierwszej jest czymś naturalnym i zrozumiałym. Engler wyszedł ze słusznych założeń, ale publicystyczna argumentacja, którą zastosował posługując się tym konkretnym przykładem, problem w zasadzie rozmyła i sprowadziła na manowce piłkarsko-działaczowskiej biurokracji. Nieszczęściem dla reportażysty było to, iż jego audycję nadano tuż przed meczem Legia — Wisła, pojedynku dwóch klubów, których działacze, a i zawodnicy mogliby (gdyby chcieli) wiele na temat podjęty w reportażu powiedzieć. W warszawskim meczu błyszczeli Okoński, Kusto i Miłoszewicz. Wszyscy trzej, jak jeden mąż, „wychowankowie" Legii, nieprawdaż panie redaktorze Engler?

O powinnościach i odpowiedzialności publicysty usiłowali dyskutować w ostatnim (3 kwietnia) wydaniu „Pegaza" Jerzy Urban, Hanna Kral, Małgorzata Sztajnert i Krzysztof Kłopotowski. Z wypowiedzi przeze mnie usłyszanych wynikało, że publicysta, tak jak dżentelmen, o faktach nie mówi. Ważna jest teza i założona tendencja, a jeśli fakty jej nie potwierdzają, to tym gorzej dla faktów. Czy rzeczywiście tak? Problem jest na tyle ważny (ilustracją reportaż Englera), iż należałoby (to apel do Redakcji Publicystyki Kulturalnej) do niego wrócić w jakimś solidniejszym wydaniu.

GRZEGORZ GAZDA

TELEWIZJA

W PŁOMIENIU MIŁOŚCI

Bo rzecz stawiając przed wami najprościej,
Wszyscy są równi
w płomieniu miłości.
(przekład Aleksandra Maliszewskiego)

Przyjmując nieprzemijającą prawdę tego morału, pamiętajmy, w jakich czasach został on wypowiedziany. Ówczesny kodeks społeczny zakładał nieprzekraczalne bariery, które przez sam fakt urodzenia czyniły ludzi nierównymi sobie i uniemożliwiały swobodną realizację uczuć miłosnych. Szlachta i gmin to były dwa zamknięte w stosunku do siebie światy, a surowa obyczajowość stała na straży ich granic.

Jeżeli nawet de Vega pozwala młodemu szlachcicowi zakochać się w pięknej służącej, spotykanej wieczorami, gdy dążyła z dzbanem po wodę do studni, to przecież szczęśliwe zakończenie tej opowiastki umożliwia dopiero fakt, że rzekoma prosta dziewczyna okazuje się ukrywającą swe pochodzenie szlachcianką. W tej sytuacji głoszona przez pisarza równość w obliczu miłości jest tylko pozorna. De Vega sofa się w ten sposób przed konsekwentną obroną nieograniczonego prawa do miłości.

Jeszcze jeden zarzut chciałoby się postawić autorowi, tym razem czysto dramaturgiczny. Otóż de Vedze zabrakło konceptu, by szlachetne pochodzenie bohaterki ujawniło się poprzez akcję. W określonym momencie dziewczyna po prostu przyznaje się do mistyfikacji, tak więc rzecz rozwiązuje się w sposób czysto werbalny.

Te moje grymasy nie są jednak w stanie odmówić uroku, jakim nacechowana jest komedia de Vegi. Ewokowany przez niego sceniczny światek nasycony jest liryką i humorem, postaci ledwie naszkicowane nabierają przecież życia i niosą w sobie materiał dla aktorskich popisów. Najwięcej z niego przypada senioricie Marii, z czego w pełni skorzystała Małgorzata Rogacka-Wiśniewska. Aktorka ta, o której tak wiele dobrego mieliśmy już okazję napisać, potraktowała swą „dziewczynę z dzbanem" nowocześnie, z humorem, nie przerysowując jej w kierunku liryki, ani stylizacji. Uważam, że szczególnie w telewizji taka interpretacja sprawdziła się w pełni.

Z dyskrecją i kulturą partnerowała protagonistce Mirosława Marcheluk-Poulain. Słowa uznania należą się również innym wykonawcom, a zwłaszcza Andrzejowi Mayowi, Januszowi Peszkowi, Łucji Żarneckiej, Ryszardowi Dembińskiemu i Bogdanowi Baerowi, który całość widowiska ze smakiem wyreżyserował. Nienaganna reżyseria telewizyjna spoczywała w doświadczonych rękach Mieczysława Małysza, zaś scenografia była autorstwa Iwony Zaborowskiej.

Zespół Telewizji Łódzkiej wystąpił w drugie święto z aż dwoma widowiskami teatralnymi: dla dzieci zaprezentowano „Pana Kleksa" Jana Brzechwy z Andrzejem Żarneckim, zaś dla dorosłych widzów „Dziewczynę z dzbanem" Lope de Vegi. Przyjmujemy sam fakt z dużym zadowoleniem, od dawna bowiem uważamy, że udział Łodzi w programach teatralnych TvP jest nie na miarę aspiracji, możliwości i tradycji naszego środowiska.

Wybierając „Dziewczynę z dzbanem", klasyczną komedię późnego renesansu hiszpańskiego, programowcy łódzcy zakładali z góry zrealizowanie pozycji rozrywkowej, dającej szansę zamanifestowania rzetelnego warsztatu artystycznego, ale też nie pretendującej do miary wydarzenia telewizyjnego. To z mej strony nie zarzut, tylko konstatacja.

Lope Felix de Vega Carpio (gdyż tak brzmi pełne nazwisko pisarza) urodził się w Madrycie w 1562 roku a więc na dwa lata przed Szekspirem. Obaj odegrali w rozwoju teatru w swych krajach, jak i teatru światowego ogromną rolę, z tym że po Mistrzu ze Stratfordu zachowało się 37 sztuk dramatycznych i brak jest jakichkolwiek przesłanek, by sądzić, że napisał ich więcej, natomiast ze spisu tytułów dokonanego przez samego de Vegę wynika, iż miał on w swoim dorobku około 1.700 sztuk, z czego do naszych czasów dotrwało prawie 500 tekstów.

Był więc de Vega swoistym rekordzistą, co nie mogło pozostać bez wpływu na poziom jego utworów. Nie brakło wśród nich przeróbek i adaptacji, a choć większość stanowiły dzieła oryginalne, to przecież o bardzo nierównej wartości literackiej i nie zawsze najwyższym ładunku myślowym. Duża z nich część, to tak zwane comedias de la capa y espada — komedie płaszcza i szpady, pełne romantycznych powikłań i ekscytujących wydarzeń. Niektóre zasiedliły trwale repertuar naszych teatrów. Zaliczyć do nich można m.in. „Owcze źródło", „Psa ogrodnika" czy też właśnie „Dziewczynę z dzbanem".

Warto tu może gwoli podtrzymania naszej lokalnej tradycji wspomnieć, że w 1953 roku „Dziewczyna z dzbanem" wystawiona w Teatrze Nowym w reżyserii Hanny Małkowskiej biła rekordy powodzenia (170 przedstawień, ponad 100 tysięcy widzów), a odtwórczyni tytułowej roli Hanna Bedryńska zaskarbiła sobie wielką popularność u publiczności.

„Dziewczyna z dzbanem" ma jako tekst dramatyczny wiele zalet, ale nie brak jej i słabości. Jest w niej zawarty dystych, który uznać można za posłanie tej sztuki:

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PLASTYKA

SPEKTAKL FORMY

Wszechstronność twórczości Witkacego powoduje, że trudno jest zobaczyć jego sztukę i jego osobowość w jednoznacznych, poddających się ścisłemu zdefiniowaniu kategoriach.

Rozpatruje się sztukę Witkacego dzieląc ją na rodzaje i gatunki, choć indywidualna poetyka obecna jest w każdym jego dziele ,w którym myśl teoretyczna zbiegła się z praktycznymi doświadczeniami organizowania kompozycji i struktury dzieła. Nie sposób nie podkreślić wzajemnych powiązań istniejących pomiędzy rodzajami i gatunkami sztuki uprawianymi przez Witkacego. W każdej pracy badawczej poświęconej jednej z dziedzin jego twórczości przywoływać trzeba inną dziedzinę, istnieje bowiem między nimi ścisła integracja.

Muzeum Narodowe w Krakowie i Muzeum Sztuki w Łodzi przygotowały eksponowaną w łódzkim Muzeum Sztuki wystawę „Stanisław Ignacy Witkiewicz. Malarstwo — fotografia — rysunek — forma portretowa".

Podstawą przeprowadzonych prac przygotowawczych, organizacyjnych i badawczych było przekonanie, że nie podjęte jeszcze zostały wyczerpujące badania, które pozwoliłyby scalić różnorodzajowy dorobek twórczy Witkiewicza. Tylko zaś poprzez pełną konfrontację jego osiągnięć i eksperymentów możliwe byłoby odnalezienie motywów spajających tę sztukę w zwartą estetycznie, filozoficznie i formalnie całość.

Na wystawie zgromadzone zostały obrazy reprezentujące wszystkie okresy malarskiej twórczości Witkacego, rysunki z lat 1927—37 oraz fotografie, które dziś oglądane w konfrontacji z całą jego twórczością rzucają nowe światło na wszelkie relacje wewnętrzne jej struktur i znaczeń.

Wartość poznawcza tych fotografii jest ogromna; nie tylko posiadają one walory historyczne przysługujące dokumentom, ale są również świadectwem eksperymentów zmierzających w stronę poszukiwania zasad kompozyjnych świata postrzeganego przez urządzenie optyczne, aranżacji i reżyserii wydarzenia oraz kadru — fragmentu rzeczywistości utrwalonej na kliszy fotograficznej.

Wystawa ta jeszcze raz dowodzi, że został postawiony nowy problem dla historii sztuki, ściślej zaś — dla historii polskiej fotografii. Problemem tym jest określenie miejsca i wartości fotografii w dorobku twórczym artysty oraz jej znaczenie dla historycznego rozwoju sztuki, jaką mają pozostałe dzieła Witkacego. Prace badawcze już zostały podjęte, a nie są one łatwe, bowiem Witkacy w swojej teorii formy nie wypowiadał się na temat fotografii. [1]).

Przemiany formy malarstwa S. I. Witkiewicza można, dzięki wystawie, śledzić od jej związków z formą sztuki pejzażu Stanisławskiego („Nocny pejzaż" — 1901—1902), syntetyzmu Ślewińskiego („Portret dr Ignacego Wassenbergera" — 1905—1910 „Martwa natura" — 1910) formizmem Pronaszki i Chwistka („Kompozycja z tancerką" — 1920), aż do formy „czysto witkacowskiej", rozchwianej, dramatycznej, obsesyjnej. Świat przedmiotowy, przedstawiający, rozpadł się. Rację artystycznego bytu ma jedynie jednostkowy i indywidualny świat doznań w sztuce oscylującej, rozdartej pomiędzy figuracją ikoniczną, a abstrakcją. Egzystencja ludzka stała się możliwa do artystycznej penetracji jedynie w warstwie podmiotowej.

Podmiotowość malarstwa Witkacego wynika z jego osobowości artysty poznającego, docierającego do istoty osobowości modela i istoty indywidualnego, przejmującego doznawania świata.

W rysunkach dominuje płynna linia zaznaczająca kontury postaci. Mają one w sobie dużą dozę realności sytuacji, która zostaje odkształcona, nabiera cech poza- i ponad rzeczywistych, hiperbolicznych. Powstaje narracja w formie dopowiedzianej słowem, np.: „Śmierć proroka" (1929) — „Żona — natchnienie oficjalne pochyla się nad nim, a Zuzia — pokojówka śmieje się, bo to według niej ona była tem natchnieniem lat ostatnich".

Bliskie rysunkom są w malarstwie nagłe zmiany układów płaszczyzn, wydłużenie i deformacja linii, przechodzenia elementów formy ostrymi rozwibrowaniami zestawów barwnych w inne elementy, przemieszania rozpoznawalnych kształtów z kształtami nie dającymi się już identyfikować z jakąkolwiek realnością.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, to przede wszystkim niezwykła osobowość, w której życie i sztuka scaliły się w jedność, zaś sztuka stała się jedynym atrybutem życia.

Wielkość tej sztuki leży pomiędzy dwoma biegunami, z których jeden to posłannictwo demiurgiczne artysty — wiecznego kreatora formy rozwijającej się z kształtu realistycznego i przechodzącej w kształt „formy czystej", zrywającej z naśladownictwem rzeczywistości, wchodzącej na coraz wyższe poziomy metafizycznego wtajemniczenia w sens ludzkiego bytu, zaś drugi biegun, to zachowanie w sztuce ciągłości metaformozy formy, dla której warunkiem jest prawda psychologicznej motywacji aktu twórczego.

Wystawa w Muzeum Sztuki jest poważną przesłanką do snucia refleksji i porównań, jak wpływały na twórczość Witkacego modernizm i secesja, dadaizm, surrealizm i nowatorskie programy estetyczne dwudziestolecia międzywojennego. Przed zbieżnościami formalnymi z różnymi kierunkami w sztuce pozwalały się obronić Witkacemu jego silnie zindywidualizowane sposoby widzenia, interpretowania i obrazowania świata. Płaszczyzną zróżnicowań była, zdobywana przez artystę drogą eksperymentów na sobie i własnej świadomości, wiedza psychologiczna. Ona także stała się ośrodkiem poszukiwań związków pomiędzy zewnętrznym wizerunkiem postaci, a jej psychicznymi cechami i przekazem informacji, jakie o człowieku niesie obraz i fotografia.

MARIA KĘPIŃSKA

[1]) Urszula Czartoryska, *Witkacy w zwierciadle fotografii*, *Fotografia* nr 5, 1972 oraz *Laboratorium Psychologii nieeuklidesowej, czyli o fotografiach Witkacego*, Odra nr 3, 1980.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Na II Plenum KC PZPR oraz w czasie pierwszej po wyborach debaty sejmowej wiele uwagi poświęcono problematyce międzynarodowej. Złożoność sytuacji w świecie, komplikowanie jej przez dążenie do wyższego jeszcze poziomu zbrojeń i zahamowania czy wręcz przerwania procesu odprężenia — wszystko to napawa zrozumiałą troską.

Bieg wydarzeń w ostatnich miesiącach **potwierdza dalekowzroczność inicjatyw krajów socjalistycznej wspólnoty**, wynoszących do najwyższej rangi odprężenie militarne. Z troski o pokój zrodziła się propozycja Polski, zgłoszona z trybuny VIII Zjazdu PZPR, aby w Warszawie odbyła się europejska konferencja na temat odprężenia militarnego i rozbrojenia. Ten sam cel przyświecał **wspólnej inicjatywie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Francuskiej Partii Komunistycznej, aby rychło spotkali się przedstawiciele partii komunistycznych i robotniczych Europy.** Jak wiadomo z ogłoszonego komunikatu, spotkanie takie odbędzie się 28—29 kwietnia w Paryżu. Jego celem będzie wzmożenie działania na rzecz pokoju i rozbrojenia.

Ruch komunistyczny i robotniczy odgrywa w oddaleniu niebezpieczeństwa wojny szczególną rolę. Przed laty — na naradzie w Berlinie — podkreślono wagę odprężania stosunków międzynarodowych i rozbrojenia. Zawarta w dokumencie tej narady analiza sytuacji okazała się w pełni trafna. W miarę jak odprężenie stawało się tendencją powszechną i dominującą — koła imperialistyczne nasiłały atak przeciwko niemu, przede wszystkim po to, aby uniemożliwić ograniczenie zbrojeń.

Kwietniowe spotkanie komunistów w Paryżu odbywać się będzie **w wyjątkowo ważnym okresie dla europejskiego kontynentu.** Trzeba bowiem nie pozwolić na to, aby dorobek odprężeniowy wielu ostatnich lat został zniweczony. Doświadczenia II wojny światowej, a przecież niedługo obchodzić będziemy 35-lecie zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem, uczą jak zasadnicze znaczenie **ma podjęcie w odpowiednim czasie środków dla obrony pokoju.** Dlatego dzisiaj, gdy koła militarystyczne Zachodu chcą znów wprowadzić świat w okres napięć i konfliktów, a arsenały pęcznieją od środków masowego zniszczenia i ciągle się je nadal wzbogaca, walka w obronie pokoju ma swój najszerszy wymiar. Uczestniczą w niej ludzie o różnych poglądach politycznych, przynależności partyjnej i wyznaniach religijnych i konieczne staje się zjednoczenie ich wysiłków w imię tego szlachetnego celu. Stąd doniosłość wspólnej inicjatywy PZPR i FPK.

W Stanach Zjednoczonych toczy się nadal kampania przedwyborcza. Kolejna tura wyborów wstępnych w stanach Wisconsin i Kansas ponownie przyniosła zwycięstwa: po stronie demokratów Carterowi, a po stronie republikanów — Reaganowi. Temu ostatniemu najprawdopodobniej nikt już nie zagrodzi drogi do otrzymania nominacji na republikańskiej konwencji. Warto więc poświęcić jego osobie nieco uwagi.

Reagan stał się określoną siłą polityczną wcale nie z powodu jakichś osobistych walorów. **Reprezentuje on po prostu konserwatywne, a właściwie — reakcyjne tendencje,** odpowiadające znacznej części amerykańskiego drobnomieszczaństwa. W dziedzinie polityki wewnętrznej jego program głosi zasadę nieinterwencji państwa i zapewnienie jak największej swobody inicjatywie prywatnej, w dziedzinie polityki zewnętrznej — opowiada się za twardym kursem i rozmowami z pozycji siły. Pod wielu względami — przypominają amerykańscy komentatorzy — jest on nowym wcieleniem Barry Golwatera. Jeśli jednak ten ostatni przegrał swego czasu fatalnie, Reagan ma szanse wyborcze i dlatego jest zjawiskiem w wewnętrznym życiu Stanów Zjednoczonych niebezpiecznym. Najsłabszym jego punktem jest wiek — liczy sobie 69 lat.

Do wyborów przygotowuje się również Franz Josef Strauss. Jak wiadomo, z ramienia chadecji ubiegać się będzie o fotel kanclerza RFN.

W przedświątecznym tygodniu **złożył on ponownie pod adresem FDP propozycję współpracy rządowej po jesiennych wyborach do Bundestagu.** — Chadecja — oświadczył — wyciągnęłaby rękę do Genschera, gdyby był skłonny do utrzymania zdolności Republiki do działań politycznych. Przy okazji zaatakował ostro Schmidta, twierdząc, że „fałszywi prorocy odprężenia, zgrupowani wokół Brandta i Wehnera, nałożyli pęta". Przytaczamy to zdanie, gdyż mówi ono więcej niż można by wyjaśnić w rozwiniętych zdaniach komentarza.

Strauss składał wizyty w Paryżu i Waszyngtonie, a teraz wybiera się do Londynu, aby po rozmowach z panią Thatcher rozwinąć współpracę brytyjskich konserwatystów z zachodnioniemiecką chadecją. Jak się wydaje, kontakt nawiązany zostanie łatwo, ponieważ i premier brytyjski i kandydat na kanclerza w RFN mają zbieżne poglądy w sprawie stanu i kierunków rozwoju sytuacji międzynarodowej — po prostu nie są „entuzjastami odprężenia.

W. SŁAWSKI

TEHERAN - MARZEC 1980

11 marca przywódca irańskiej rewolucji, ajatollah Chomeini, złożył oświadczenie, w którym powiedział między innymi:

Obecnie znów wyłonił się problem USA i amerykańskich zakładników znajdujących się w rękach walczących studentów muzułmańskich. W związku z tym zwrócę uwagę na kilka istotnych kwestii. Po pierwsze — kopie wszystkich dokumentów demaskujących ingerencję USA i sprzedajność szacha należy przekazać do dyspozycji międzynarodowej komisji. Muzułmańscy studenci, jeśli posiadają takie dokumenty, powinni kopie tych dokumentów przedłożyć komisji. Po drugie — zezwala się na spotkanie z zakładnikami, których działalność jest powiązana z amerykańską interwencją i zbrodniami szacha. Jeśli wspomniana komisja wyrazi w Teheranie rzetelną opinię w sprawie zbrodni szacha i mieszania się agresywnej Ameryki do wewnętrznych spraw Iranu, to nie powinno być żadnych przeszkód w spotkaniu komisji z zakładnikami...

Jak podkreślił komentator amerykańskiej kompanii telewizyjnej NBC, oświadczenie to oznacza, iż członkowie międzynarodowej komisji ONZ do zbadania zbrodni szacha nie zostaną dopuszczeni do amerykańskich zakładników jako jeńców, lecz jako wspólników zbrodni szacha.

W związku z oświadczeniem ajatollaha Chomeiniego studenci przekazali, rano 11 marca, do dyspozycji międzynarodowej komsji, dokumenty świadczące o zbrodniach szacha i ingerencji USA w Iranie. Komisji przekazano na początek 185 dokumentów, świadczących o mieszaniu się USA w wewnętrzne sprawy Iranu i 288 dokumentów, dotyczących szpiegowskiej działalności CIA w Iranie. Dokumenty te, jak oświadczyli studenci, demaskują działalność 103 amerykańskich szpiegów z czasów reżimu b. szacha.

Warunki ajatollaha Chomeiniego *są widocznie nie do przyjęcia dla Stanów Zjednoczonych* — informuje korspondent „New York Times". Waszyngton, zdaniem tej gazety, sądził iż podróż międzynarodowej komisji ONZ będzie w jakiś sposób związana z uwolnieniem zakładników. Studenci odmówili zezwolenia na spotkanie komisji z zakładnikami *uważając, że byłoby to kompromisem z amerykańskim imperializmem.* W związku z tym wyrazili nawet gotowość zdjęcia z siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo zakładników. Później kancelaria ajatollaha Chomeiniego opublikowała oświadczenie, w którym wskazuje się, iż decyzja, żeby o losie zakładników zadecydował przyszły parlament irański, pozostaje w mocy.

Nastroje panujące w stolicy Iranu oddaje interesujący reportaż dwóch zachodnioniemieckich dziennikarzy z Duesseldorfu, zamieszczony w tamtejszym dzienniku „Deutsche Volkszeitung". Drukujemy go z małymi skrótami.

W holu portu lotniczego w Teheranie panuje typowo wschodni rwetes. Ludzie objuczeni walizkami, pakunkami, tobołkami przeróżnych gabarytów gorączkowo śpieszą do pomieszczeń komory celnej. Przeglądu bagażu dokonują mężczyźni ubrani nie w służbowe uniformy, lecz w odzież cywilną. Od czasu gdy w Iranie wybuchła rewolucja kategorycznie zabroniono wwożenia wódek wszelkiego rodzaju, ponieważ islam odrzuca spożywanie alkoholu.

Odległość od lotniska do centrum stolicy Iranu pokonujemy taksówką w przeciągu dwudziestu minut. W hotelu przyjmują nas niezbyt przyjaźnie. Następnie coś w rodzaju „ożywionej wymiany zdań" między kierowcą taksówki a pracownikiem hotelu. Co było powodem tej scysji dowiadujemy się nieco później, kiedy zjawia się przed nami właściciel hotelu. Pyta nas po angielsku, czy jesteśmy Amerykanami. Wyjaśniamy że nie, że jesteśmy Niemcami z RFN. Spogląda na nas niemal z wyrzutem i pyta po niemiecku: „Dlaczego w takim razie rozmawiacie po angielsku?!". Teraz rozumiemy dlaczego kierowca taksówki żądał od nas aż tysiąc rialów zamiast sześciuset: próbowaliśmy się z nim porozumieć po angielsku i wziął nas za Amerykanów.

Nazajutrz rano wychodzimy na pierwszy spacer po Teheranie. Na ulicy przed uniwersytetem stoją stoły, ustawione jeden przy drugim, a na nich góry najrozmaitszych książek aż po przekłady dzieł Lenina. Proponuje się także kupno kaset magnetofonowych z nagraniami muzyki wschodniej, pieśni rewolucyjnych lub rewolucyjnych wystąpień działaczy politycznych. Na ścianach domów, parkanach, na każdym wolnym miejscu rozklejono plakaty. Ich autorzy najczęściej zwracają uwagę na agresywny charakter amerykańskiego imperializmu. Wszędzie spotykamy grupy ludzi, którzy o czymś z ożywieniem dyskutują. Dwóch lub trzech spierających się rozmówców otacza momentalnie kilkunastu przechodniów, co wynika z przysłowiowej już żądzy wiedzy Irańczyków, ale także z kolosalnego uczulenia społeczeństwa na sprawy polityki. Należy wspomnieć o jeszcze jednym ważnym szczególe: w wartkim nurcie agitacji i dyskusji biorą także udział członkowie Ludowej Partii Iranu (TUDE).

Bardzo ostro zarysowuje się dziś problem zaopatrzenia ludności w produkty żywnościowe. Przed sklepami tworzą się długie kolejki, lady na bazarach są prawie puste. Taka sytuacja sprzyja oczywiście wzrostowi cen. Główna przyczyna tej trudnej sytuacji tkwi w zależności Iranu od importu żywności, co jest dramatyczną konsekwencją agrarnej „białej rewolucji" reżimu b. szacha. Urodzajne ziemie i korzystne warunki klimatyczne pozwalają, praktycznie rzecz biorąc, na uprawianie wszystkich niezbędnych kultur rolnych. Jednak administracyjny aparat szacha poszedł po linii najmniejszego oporu, wprowadzając import produktów żywnościowych zza granicy i skazując tym samym narodową gospodarkę rolną na zagładę. Na prowadzenie tej zgubnej dla kraju polityki pozwalały ogromne dochody płynące z eksportu nafty. A koncerny, przede wszystkim amerykańskie, produkujące produkty żywnościowe, zgarniały bajeczne zyski.

Podobna zależność istnieje również w innych dziedzinach. Na przykład na angielsko-amerykańskiej licencji produkuje się, a ściślej mówiąc — przystępuje się do produkcji, irańskich samochodów osobowych. Każdą część, aż po znak określający markę samochodu, sprowadza się zza granicy. W ten sposób decyzje o wielkości produkcji irańskich samochodów osobowych i związanej z tym liczbie miejsc pracy zapadają w brytyjskich lub amerykańskich koncernach samochodowych. Techniczną dokumentację związaną z wydobywaniem nafty w Iranie także importowano. Przywieźli ją w teczkach pracownicy koncernów naftowych, a kiedy musieli uciekać z Iranu wzięli ją z sobą. I w tej dziedzinie młodą republikę islamską czeka walka z trudnościami.

Niełatwo było wciągnąć do rozmowy irańskiego studenta pełniącego służbę wartowniczą przed ambasadą amerykańską. Panuje powszechna, bardzo głęboka nieufność do zachodnich dziennikarzy. Ogromne oburzenie z powodu kłamliwych informacji rozpowszechnianych przez zachodnie środki masowego przekazu. Dopiero po bardzo długim nagabywaniu jednego ze studentów, który po drugiej stronie żelaznej bramy strzegł wejścia do ambasady USA, udało nam się zostawić mu numer telefonu naszego hotelu. Wieczorem tegoż dnia udzielono nam zezwolenia na wejście do ambasady nazajutrz rano.

Nad wejściem do ambasady widnieje wielka podobizna ajatollaha Chomeiniego, niżej transparenty z napisami w językach: perskim i angielskim — „USA nie są w stanie nam nic uczynić!" albo „Wietnam zadał im rany, Iran je pogrzebie!". To jasne, że studenci nie mogliby się uporać z militarną interwencją Stanów Zjednoczonych. Chodzi tu jednak o zagadnienie walki politycznej a nie wojskowej. Pomieszczenie w którym prowadzimy rozmowę ze studentami nie ma okien i jest wystudzone, co świadczy, że już od dawna nie przyjmowano w nim przedstawicieli prasy. Nasz rozmówca zajmuje miejsce za stołem, naprzeciwko nas. Za jego plecami widzimy ogromny stelaż z fotografiami mężczyzn i kobiet, którzy ponieśli śmierć w czasie wydarzeń rewolucyjnych. Od nich też rozpoczyna z nami rozmowę. „Męczennicy wkroczyli do historii" — mówi student i przypomina, iż w dniach rewolucji żołdacy szacha zamordowali 60 tysięcy ludzi i że jest to kluczem do zrozumienia filozofii irańskiej młodzieży.

Na stole leży album z fotografiami. To ofiary SAVAK, tajnej policji szacha, zamęczone podczas tortur, zmasakrowane. Te fotogramy wykonali sami oprawcy z SAVAK. Mówi dalej: Czyż USA nie brały udziału w tych przestępstwach? Czy ludzi z SAVAK nie szkoliła i nie popierała CIA? Czyż USA, gwoli starej przyjaźni, nie ofiarowały schronienia zbrodniarzowi Rezie Pahlavi, osłaniając go przed sądem i karą? Jest absolutnie oczywiste, kontynuował student, że po pierwsze — przyczyn zajęcia ambasady w Teheranie należy szukać w polityce Stanów Zjednoczonych i po drugie, że rząd USA, grzmiąc wokół o zasadach prawa międzynarodowego, sam depcze je bez najmniejszego wahania, jeżeli tylko wymagają tego interesy USA.

Zajęcie ambasady przez studentów było punktem zwrotnym. To oni właśnie zapoczątkowali wydarzenia, które ajatollah Chomeini nazwał „nieodzowną drugą rewolucją": obronę zdobyczy rewolucyjnych, oczyszczenie aparatu rządowego i administracyjnego z wrogich elementów — pozostałości cesarskiego reżimu.

Studenci cieszą się ogromnym poparciem społeczeństwa. Liczą się z nimi a ich pozycja jest na tyle silna, że nie odczuwają lęku przed wysoko postawionymi osobistościami rządowymi. Ich mocna więź z ajatollahem Chomeinim jest powszechnie znana a on, jak wiadomo, cieszy się bezspornym autorytetem.

JERZY CZECH

OŚWIĘCIMSKI KABARET

Wielkie kontrowersje wywołała inscenizacja sztuki znanego zachodnioniemieckiego dramaturga, mieszkającego stale w Sztokholmie — Petera Weissa — w zachodnioberlińskim teatrze „Freie Volkbuehne". Sztuka pod tytułem „Dochodzenie", określona przez Weissa jako „oratorium oświęcimskie", będąca oskarżeniem najstraszniejszych hitlerowskich zbrodni, została wystawiona w formie kabaretu, co spowodowało liczne głosy oburzenia i wiele protestów.

Przewodniczący Gminy Żydowskiej w Zachodnim Berlinie, Heinz Galinsky, nazwał spektakl „niesmacznym, banalnym przypomnieniem najgorszych zbrodni, popełnionych przez nazistów, obrazą dla milionów zmarłych i nielicznych żyjących ofiar Oświęcimia". W imieniu około 3 tys. członków społeczności żydowskiej, Galinsky domagał się, aby natychmiast przerwać spektakl, oświadczył, że intencje dyrektora teatru, Thomasa Schulte-Michelsa — są nieadekwatne, ponieważ temat Oświęcimia nie nadaje się do satyry.

Jednym z pierwszych, który wypowiedział się przeciwko żądaniom Galinsky'ego, był sam Peter Weiss. Napisał on ze Sztokholmu list do dyrekcji i aktorów, oświadczając, że wita z zadowoleniem kontrowersję, dotyczącą szczególnego przedstawienia. „Proszę powiedzieć aktorom, że cieszą się moim pełnym poparciem" — brzmią słowa listu Weissa. „Mógłbym wyobrazić sobie swoją sztukę, graną w inny sposób, ale sądząc z tego, co słyszałem o spektaklu, uważam, iż jest on dobrym akordem w naszych czasach. W żadnym wypadku nie należy przerywać przedstawień".

Intencje młodego dyrektora są oczywiste i chyba w pełni usprawiedliwione — pisze „The Guardian" — Obecny rok jest rokiem wyborów powszechnym z Niemczech zachodnich. Franz Josef Strauss rzuca wyzwanie Helmutowi Schmidtowi, pragnąc zostać kanclerzem. Dyrektor teatru chciał pokazać, do jakiego stopnia obojętność wobec nazistowskiej przeszłości doszła wielka część obywateli Niemiec zachodnich. Jeden z ostatnich procesów zbrodniarzy hitlerowskich, w którym na ławie oskarżonych zasiadają mężczyźni i kobiety, którzy działali w obozie koncentracyjnym na Majdanku — ciągnie się w Düsseldorfie od wielu miesięcy. Proces ten przykuwa niewielką uwagę opinii publicznej, jeśli abstrahować od pewnych krytycznych komentarzy, dotyczących sposobu zachowania się obrońców, którzy traktują świadków, próbując ich upokarzać i niszczyć.

Drugi taki proces ludzi oskarżonych o deportację i mordowanie wielu francuskich Żydów — proces Lischki, Hagena i Heinrichsohna zakończył się niedawno w Kolonii. Przez ponad 20 lat Heinrichsohn był burmistrzem bawarskiego miasta Burgstadt. Gdy sąd skazał go na 6 lat więzienia, prominentni mieszkańcy Burgstadt zebrali bardzo wysoką sumę na kaucję, dzięki której skazanego wypuszczono na wolność.

Heinrichsohn jest członkiem Unii Chrześcijańsko-Socjalnej partii kierowanej przez Straussa, który w czasie ostatniej publicznej dyskusji nad losem Żydów i Cyganów w okresie hitlerowskim, zainicjowanej w wyniku emisji serialu „Zagłada", w styczniu ub. roku, wyraził opinię, że kraj, który odbudował swą ekonomikę z tak wielkim powodzeniem, jak Niemcy zachodnie, nie musi stale słuchać przypomnień o Oświęcimiu.

To jest tło, na którym teatr „Freie Volksbuehne" przedstawił „Dochodzenie" jako ponurą farsę Pięciu aktorów i trzy aktorki, reprezentujący na zmianę oskarżonych świadków, obrońców i prokuratorów, wchodzili na podest jak gwiazdy music-hallu, z twarzami mocno umalowanymi, mężczyźni w białych ubraniach, kobiety w połyskliwych, drogich, wieczorowych toaletach. Za każdym razem, gdy jeden ze świadków mówił o szczególnie okrutnych warunkach życia w obozie koncentracyjnym, inni aktorzy hałasowali i czynili gesty, świadczące o niedowierzaniu. Każda uwaga usprawiedliwiająca oskarżonego, wszystkie słowa obrońców oskarżonych, były przez resztę aktorów przyjmowane z aprobatą. Po każdej kwestii następował taneczny krok przez cały podest. Ten obsceniczny spektakl kompletnie zalał wszystkie najstraszniejsze fakty, co do których Peter Weiss mógł pragnąć by zostały uchronione od zapomnienia.

Prawdopodobnie jednak Weiss sam może być odpowiedzialny za najbardziej szokujący aspekt całego przedstawienia. Jest rzeczą zadziwiającą, że żaden z krytyków tego przedstawienia nie zwrócił na to uwagi. Chodzi o zdumiewające stanowisko, dające się określić słowami: „Tak się dzieje, ale za przyzwoleniem Boga", które determinuje całą twórczość tego pisarza.

Stanowisko to znalazło swój wyraz w dociekliwym badaniu własnej postawy, w zastanawianiu się, jak on sam zachowałby się w nazistowskich Niemczech, gdyby nie został zrodzony z żydowskich rodziców i dlatego zmuszony do emigracji. Takie właśnie stanowisko było charakterystyczne dla pisarza, gdy tworzył sztukę Mara-Sade, nie opowiadając się ani po stronie rewolucjonisty Marata, ani po stronie wcielenia nihilizmu, Sade'a.

Gdy Erwin Piscator po raz pierwszy wystawił „Dochodzenie" w tym samym zachodnioberlińskim teatrze przed 15 laty, oskarżeni i ich ofiary niczym nie różnili się od siebie, nie można ich było poznać ani po ubraniu, ani po sposobie bycia. Hanns Anselm Perten, który wystawił następnie tę sztukę w teatrze rostockim w NRD, nie powodował się tego rodzaju moralnymi rozważaniami. Dla niego — zdeklarowanego komunisty, sprawa była absolutnie jasna. Perten zaaranżował proces sądowy, dając mu za tło nazistowski obóz śmierci z dwiema wieżami strażniczymi. Uzbrojony strażnik pilnował świadków. Światła reflektorów świeciły w twarz ofiarom, hełmy stalowe SS znaczyły miejsca oskarżonych. Teraz... w roku 1980, nazistowscy oprawcy i ich ofiary zostali pokazani identycznie. To właśnie jest największym mankamentem spektaklu, który mógłby być uzdrawiającą lekcją dla moralnego zdrowia narodu.

SCOTLAND YARD CONTRA SCOTLAND YARD

Scotland Yard — legendarna policja londyńska jest w rzeczywistości o wiele gorsza niż reputacja, jaką się cieszy na całym świecie. Funkcjonariusze wszystkich rang trudnią się szantażem, inkasują łapówki, pomagają kryminalistom, tuszują przestępstwa. Materiał dowodowy przeciwko policji stolicy W. Brytanii, zgromadzony przez specjalną komisję, złożoną z funkcjonariuszy spoza Londynu, jest przytłaczający. Ale zarówno rząd, jak i kierownictwo Scotland Yardu nie robią — na razie — nic. Boją się skandalu. Artykuł na ten temat podajemy za tygodnikiem DER SPIEGEL.

Był ciepły księżycowy wieczór, gdy James Kelly, 53-letni robotnik z Liverpoolu, w dniu 20 czerwca 1979 r. około godziny 11 wieczorem, pijany, ale zadowolony z życia opuścił swoją ulubioną knajpę „The Oak Tree". Głośno śpiewając, niezbyt pewnym krokiem zmierzał w kierunku domu na przełaj, przez nie zabudowany placyk. Z okolicznych domów pięciu świadków niezależnie od siebie, obserwowało dalszy przebieg wydarzeń:

Policyjny radiowóz przez chwilę jechał powoli za pijanym, a w końcu lekko potrącił go z tyłu tak, że człowiek ten upadł. Z samochodu wysiedli dwaj policjanci, jeden z nich przytrzymał pijanego od tyłu, drugi zaś zaczął go systematycznie bić. Po twarzy. Po nerkach. Po nogach.

Następnie policjanci wrzucili swoją ofiarę do samochodu i zawieźli ją do komisariatu w Huyton a wkrótce potem — do szpitala w Whiston. W chwili przywiezienia do szpitala, Kelly już nie żył; zmarł — jak twierdziła policja — na atak serca.

Krewni Kelly'ego nie chcieli się pogodzić z tą „przyczyną śmierci" i na własny koszt zlecili przeprowadzenie ekspertyzy patologicznej, która wykazała, że wesoły bibosz, który tuż przed aresztowaniem mógł jeszcze śpiewać, doznał podwójnego złamaia szczęki i 30 ciężkich, częściowo wewnętrznych, obrażeń.

Lokalny poseł do Izby Gmin, b. premier labourzystowski, Harold Wilson, prasa oraz liczni mieszkańcy Liverpoolu do dziś bezskutecznie domagają się przeprowadzenia niezależnego dochodzenia w sprawie tajemniczego zgonu. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odmawia zgody, albowiem przypadek Kelly'ego nie jest przypadkiem wyjątkowym.

W okresie 1970—79 w rękach policji zmarło 245 Anglików i Walijczyków, 143 z nich — śmiercią nienaturalną, a ponad połowa tych zgonów nastąpiła w celach legendarnego londyńskiego Scotland Yardu. Niemniej, w żadnym z tych przypadków nie doszło do procesu przeciwko policjantom, ba, nie wszczynano nawet dochodzenia. „Uważamy naszą policję za wspaniałą, ale o ileż wspanialej byłoby, gdyby więcej ludzi żywych wychodziło z jej cel" — pisał niedawno cynicznie konserwatywny tygodnik „The Spectator".

Z bezradnością, niedowierzaniem, z goryczą, a czasem z sarkazmem, reaguja Brytyjczycy na wzrastającą falę meldunków, które — po wszystkim co już musieli znieść — od upadku imperium, aż po kryzys gospodarczy — grożą teraz zniszczeniem od lat hołubionego przekonania, że przynajmniej policja brytyjska pozostaje wciąż „najlepsza na świecie", jak to podkreślał z dumą „Economist" jeszcze w grudniu ub. roku.

Jednakże już wówczas to szacowne pismo z przestrogą i niesmakiem dodało: „Mnożą się niepokojące objawy świadczące o tym, że pewne elementy w policji zaczynają zachowywać się brutalnie i traktować pewną część społeczeństwa nie jak zasługujących na ochronę obywateli, lecz jak zwierzynę łowną". Zwierzynę łowną, na której można dobrze zarobić...

Tony Castro, kierowca opancerzonego samochodu przeznaczonego do transportu pieniędzy, a należącego do agencji „Security Express" przestrzegał ściśle wszystkich przepisów bezpieczeństwa, gdy 31 maja 1978 roku wjeżdżał do podziemi gmachu „Daily Mirror". W jego samochodzie znajdowało się ok. 200 tys. funtów gotówki, przeznaczonej na wypłatę poborów Tony Castro zaczekał, aż potężne wrota bezpieczeństwa zostaną zamknięte i zaryglowane, dopiero wtedy otworzył zasuwane drzwi pojazdu i wydobył worki z pieniędzmi. Nie zwrócił jednak uwagi na dwóch rzekomych drukarzy którzy stali w pobliżu rampy. Ci, w pewnym momencie podbiegli do pancernej bramy, otworzyli ją siłą od środka i wpuścili czekającego na zewnątrz w skradzionym mercedesie trzeciego wspólnika. We trzech obezwładnili kierowcę i konwojenta i zabrali pieniądze, które ci zdążyli przeładować na mały ręczny wózek.

Tony Castro usiłował się bronić i zginął traszliwą śmiercią: jeden z trzech przestępców władował mu z bliska w brzuch cały magazynek z wojskowego pistoletu. Castro zmarł z upływu krwi. Bandyci uciekli.

Było to przestępstwo dobrze zaplanowane, brutalne, z gatunku tych, jakie niemal codziennie mogą się zdarzyć w każdym wielkim mieście świata. A jednak napad na pieniądze londyńskiego „Daily Mirror" i zamordowanie Tony'ego Castro było przestępstwem szczególnego rodzaju: odbyło się za wiedzą i przy opłaconym milczeniu londyńskiej policji.

Taki jest przynajmniej wynik rozpoznania specjalnej grupy policyjnej, złożonej z funkcjonariuszy nie pochodzących z Londynu, która od półtora roku bada ciężkie zarzuty ciążące na londyńskiej policji. Zaś napad, w czasie którego zabity został Tony Castro, był jednym z trzech przestępstw, które doprowadziły do utworzenia tej grupy specjalnej.

Przede wszystkim jednak pomógł przypadek. W połowie 1978 roku, w odległości zaledwie kilku mil od Londynu, w hrabstwie Hertford, funkcjonariusze miejscowej policji kryminalnej przesłuchiwali kilku przestępców, którzy w zamian za obietnicę złagodzenia kary byli gotowi sypać swoich dawnych, jeszcze aktywnych, kolegów. Świat przestępczy wyznaczył nagrody za głowy „sypiących". Aby zapewnić im bezpieczeństwo, wywieziono ich więc z Londynu i umieszczono w zakonspirowanym miejscu, gdzie ich przesłuchiwaniem zajęli się nie londyńscy, lecz miejscowi policjanci. A ci dowiedzieli się rzeczy zgoła zadziwiających: przesłuchiwani wymieniali nazwiska, daty, liczby, świadczące o tym, że funkcjonariusze policji londyńskiej zamieszani są w dziesiątki przestępstw od przekupstwa aż po ciężkie zbrodnie.

Zaskoczeni policjanci z terenu zwrócili się do Generalnego Inspektoratu Policji, który postanowił zbadać zarzuty. Dotyczyły one jednakowo obu niezależnych od siebie organizacji policyjnych Londynu — zarówno liczącej zaledwie 900 funkcjonariuszy niewielkiej „City of London Police", która powołana jest do strzeżenia ładu i porządku w granicach londyńskiego centrum finansowego, jak i zatrudniającej 22.766 osób policji miejskiej — „Metropolitan Police", która zdobyła sobie światową sławę pod mianem Scotland Yardu (od nazwy jej kwatery głównej). Dlatego też Inspektorat Generalny postanowił mianować szefem grupy dochodzeniowej funkcjonariusza z prowincji, a całe przedsięwzięcie otrzymało nazwę „Operacji Wieśniak" (Operation Countryman). Szefem grupy został Leonard Burt, dotychczasowy zastępca szefa policji w Dorset. W sierpniu 1978 roku, wraz z niewielkim, 12-osobowym zespołem, rozpoczął on swe dochodzenia w rewirze policyjnym Camberwell, w południowej części Londynu.

Już po kilku tygodniach Burt zdał sobie sprawę, że niezbędne jest zachowanie ściślejszej tajemnicy, że — jak wyraził się reporter komercyjnej telewizji „The London Programme", Peter Chippendale — „musi traktować całą policję londyńską jak nieprzyjaciół".

Burt przeniósł się wraz z małym sztabem do leżącego w niewielkiej odległości od Londynu miasteczka Godalming, w hrabstwie Surrey (Płd Anglia) i powiększył swoją grupę o mniej więcej 80 funkcjonariuszy policji kryminalnej i 40 urzędników biurowych. Oczywiście, nie było wśród nich ani jednego, których pochodziłby z Londynu.

Dotychczasowe wyniki żmudnej pracy tej ekipy pozwoliły powziąć uzasadnione podejrzenia, że wśród policjantów londyńskich istnieje „zorganizowany system korupcji i przestępstw — od najniższych rangą funkcjonariuszy, aż po najgrubsze ryby". Dochodzenia wykazały mianowicie, że liczni frunkcjonariusze policji i Scotland Yardu brali udział w planowaniu napadów rabunkowych, sygnalizowali przestępcom szczególnie dobre okazje, podczas samych napadów pilnowali, aby w miejsca przestępstwa nie pojawił się żaden samochód policyjny, skonfiskowaną broń odsprzedawali z powrotem przedstawicielom świata przestępczego, kryli zaprzyjaźnionych przestępców w ten sposób, że ich czyny przypisywali recydywistom. W zamian za to skorumpowani policjanci mieli otrzymywać łapówki, których ogólna suma wyniosła przypuszczalnie kilkaset tysięcy funtów szterlingów. Wysokość łapówek była różna — od kilkudziesięciu funtów, do kilku tysięcy.

Wprawdzie na podstawie nagromadzonego materiału dowodowego w czynnościach służbowych zawieszono ostatnio 9 funkcjonariuszy, przeciwko czterem z nich sporządzono akt oskarżenia, jednakże wszystko wskazuje na to, że „Operacja Wieśniak" znalazła się w ślepej uliczce. W obawie przed skandalem, Ministerstwo Spraw Wewnetrznych, któremu podlega Scotland Yard i — oczywiście — samo kierownictwo tegoż, wzdragają się przed podjęciem bezkompromisowej czystki w policji. Czystka taka musiałaby bowiem znaleźć swój epilog w sądach, a co za tym idzie — wyjść na forum publiczne.

John Shirley, współautor książki „Upadek Scotland Yardu", pisał w związku z tym: „Głównym problemem wydaje się sprawa zaufania społeczeństwa do policji. Z jednej strony utrzymaniu tego zaufania sprzyja niewątpliwie wyciąganie konsekwencji ze wszystkich zarzutów, ale istnieje punkt, w którym zarzuty te stają się tak częste, że już samo to podważa zaufanie społeczeństwa".

Wszystko wskazuje na to, że punkt ten został właśnie osiągnięty. A do jakiego stopnia podważone zostało zaufanie do policji, zilustrował niedawno tygodnik „New Statesman" zamieszczając na okładce jednego ze styczniowych numerów zdjęcie policjanta w mundurze, z twarzą zamaskowaną pończochą, trzymającego w ręku obciętą strzelbę. Tekst pod zdjęciem głosi: „Policja jest wtedy dobra, kiedy łapie więcej przestępców niż sama zatrudnia".

Kłopoty ze skorumpowanymi, brutalnymi i uprawiającymi oszustwo funkcjonariuszami policja londyńska ma nie od dziś. Boryka się z nimi już od momentu swego powstania. Kiedy we wtorek, 29 września 1829 roku, na ulice Londynu wyszło pierwszych 60 funkcjonariuszy „New Police" — w jednorzędowych granatowych kurtkach z białymi guzikami i w czarnych cylindrach — to nie ulegało wątpliwości, że ówczesny minister spraw wewnętrznych, Robert („Bobby") Peel — stworzył pierwszą na świecie wielkomiejską policję z prawdziwego zdarzenia Ale już pierwszego dnia trzech jego ludzi zostało wyrzuconych ze służby — za kradzież; jeden za to, że sprzedał własny mundur...

Liczne kraje europejskie utworzyły swoje stołeczne siły policyjne na wzór policji londyńskiej: Madryt w 1845 r., Berlin w 1848, Paryż — w w 1852. Sami londyńczycy jednak nie mieli wiele zaufania do swoich policjantów, których początkowo nazywali pogardliwie „niebieskimi diabłami", lub „brunatnymi łapaczami". Określenie „Bobby", pochodzące od imienia sir Roberta, przyjęło się dopiero znacznie później.

Pisząc o Wydziale Dochodzeniowym Policji („Criminal Investigation Departament"), satyryczny tygodnik „Puncz" przez całe lata nie nazywał go inaczej, jak „Criminal Instigation Departament" — „wydział zachęty do przestępstw". Zaś detektywów Scotland Yardu nazywano powszechnie „defektywami".

Ledwie jeden z nielicznych entuzjastów londyńskiej policji, Karol Dickens, zdążył podreperować nieco jej opinię, pisząc pochwalne artykuły na temat „nowoczesnych, naukowych metod chwytania przestępców", kiedy nastąpił nowy cios. W 1877 r. trzej, spośród czterech, nadinspektorzy i jeden inspektor Scotland Yardu zostali oskarżeni o wieloletnie pobieranie łapówek od oszukańczej organizacji bookmacherskiej. Proces detektywów, który toczył się w londyńskim sądzie Old Bailey, stał się skandalem na skalę państwową.

I podczas, gdy autorzy powieści kryminalnych, tacy jak Edgar Wallace, za pomocą przesadzonych niekiedy opowieści, w których opisywali rzekome i rzeczywiste osiągnięcia detektywów Scotland Yardu, rozsławiali na cały świat imię londyńskich „Bobby", mieszkańcy Londynu mieli o nich całkiem odmienne zdanie.

Nawet Jej Królewska Mość, królowa Wiktoria, dała na piśmie wyraz swoim wątpliwościom co do kwalifikacji swojej policji. Kiedy Scotland Yard nie zdołał ująć słynnego „Kuby Rozpruwacza", który w ciągu kilku dni na niewielkim obszarze miasta zamordował i brutalnie zmasakrował 5 kobiet, królowa wystosowała do szefa policji list, w którym — oprócz licznych wskazówek praktycznych — znalazły się także słowa: „Obawiam się, że wydział kryminalny nie pracuje tak, jak powinien...".

Początkowa rozbieżność między sławą, jaką Scotland Yard cieszył się w świecie, a krytyką, jakiej nie szczędzili mu sami Anglicy, zmniejszyła się dopiero na przełomie wieków, kiedy Yard zapisał na swoim koncie kilka rzeczywistych sensacyjnych sukcesów, jak np. aresztowanie sławnego zbrodniarza Hawleya Crippena. Dziennikarze, autorzy powieści kryminalnych, scenarzyści zaczęli kreślić także na użytek Anglików wyidealizowany obraz londyńskiej policji. Opowieści o dzielnych detektywach ze Scotland Yardu napełniały kasy, przyprawiając czytelników i widzów kinowych o dreszcz emocji.

Na brak emocji nie mogą również oczywiście narzekać ci, którzy ostatnio zajęli się głębiej stosunkami w londyńskiej policji. Należy do nich np. sir Robert Mark, który w latach 1972—1977, jako szef Scotland Yardu próbował zlikwidować korupcję w podległych sobie organach. Gdy w kwietniu 1972 roku obejmował swój urząd, był wstrząśnięty stosunkami panującymi wśród londyńskich stróżów porządku. „Nie wiem, jak oni się zachowują wobec przeciwników, ale, na Boga! mnie ogarnia przerażenie!" — mówił o swoich nowych podwładnych.

Mark powołał komisje śledcze, które zajęły się przede wszystkim wydziałem walki z narkotykami i policją obyczajową. Skazano kilkudziesięciu funkcjonariuszy, wśród nich znalazł się także szef lotnej brygady, Kenneth Drury.

Aby nie podkopywać do reszty i tak już nadwątlonej opinii firmy, sir Mark tylko w ostateczności decydował się kierować sprawy na drogę sądową. W większości wypadków, stosując metodę łagodnego nacisku, skłonił do podania się do dymisji 500 spośród 3.500 detektywów.

Metoda ta jednak, jak świadczą pierwsze wyniki „Operacji Wieśniak", bynajmniej nie przyniosła pożądanego skutku. „Mark zrobił bardzo wiele — powiedział niedawno b. minister spraw wewnętrznych w rządzie labourzystowskim, Merlyn Rees ale żaden szef policji nie jest w stanie sam zlikwidować całego tego raka, który toczy organizm Scotland Yardu Nie ma wątpliwości, że jeszcze dużo tego zostało".

Policjanci próbują więc łapać policjantów, stosując wszystkie chwyty znane w tym pełnym pomysłów zawodzie. Funkcjonariusze uczestniczący w „Operacji Wieśniak" zostali nawet upoważnieni do podsłuchiwania rozmów telefonicznych — zarówno służbowych jak i prywatnych — kolegów, co do których istnieją podejrzenia.

Ale te szerokie uprawnienia nie pocieszają Brytyjczyków, zwłaszcza że — jak się niedawno okazało — nadzorowi telefonicznemu podlegają nie tylko podejrzani o korupcję funkcjonariusze, ale także nieposzlakowani obywatele, dziennikarze, ambasady zaprzyjaźnionych państw a nawet posłowie do parlamentu. Sterowane przez komputer urządzenie zainstalowane na londyńskim przedmieściu Chelsea, umożliwia podobno rejestrowanie i analizę tysiąca połączeń telefonicznych jednocześnie.

„Operacja Wieśniak" korzysta oczywiście także z tych możliwości, ale prowadzona przez nią walka ze skorumpowanymi kolegami ze stołecznej policji nie jest przez to wiele łatwiejsza. „Niektórzy szefowie policji zaczynają wierzyć w to, że stoją ponad prawem" — stwierdza poseł labourzystowski i b. sekretarz stanu do spraw wewnętrznych, Alexander Lyon.

Jeszcze dosadniej wyraża się londyski adwokat, James Saunders, który w swojej karierze obrońcy stykał się wielokrotnie z przypadkami, gdy skorumpowani policjanci podrzucali jego klientom „dowody rzeczowe", aby udowodnić im udział w przestępstwie. „Jeśli „Operation Countryman" nie doprowadzi do poważniejszych procesów, będzie to miało fatalne skutki albowiem wówczas „firma" zorientuje się, że jest w pewnym sensie bezkarna i w ciągu kilku dni, a najwyżej — tygodni cały interes rozkręci się na nowo..." — mówi Saunders.

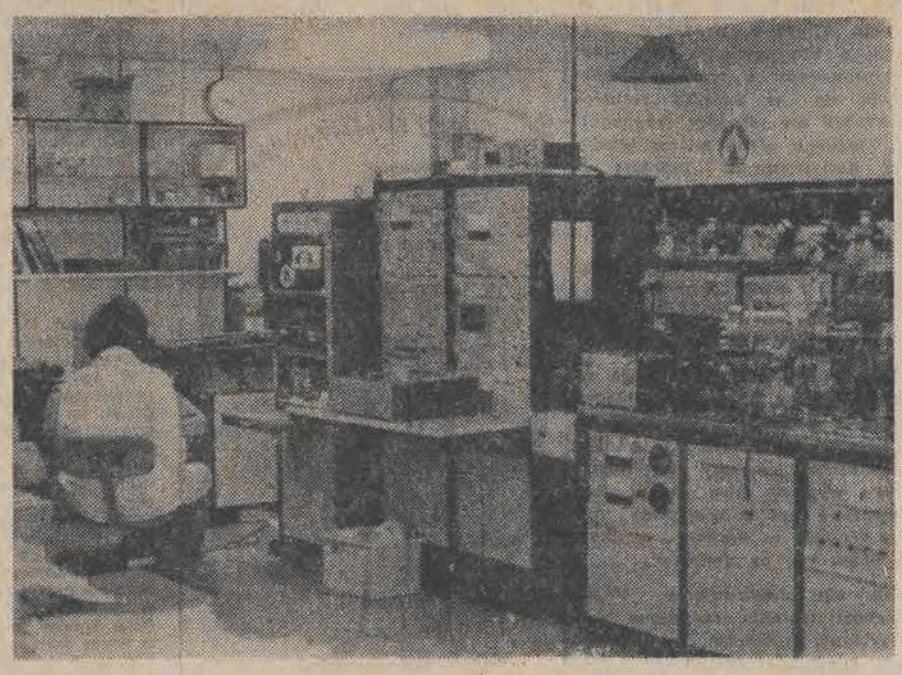

Laboratorium Scotland Yardu

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ERRATA

Należę do tych dziwnych ludzi, którzy nie tylko czytają książki, ale na dodatek podejmują heroiczne próby... kupowania nowości wydawniczych. Dzięki licznemu gronu przyjaciół próby te bardzo często uwieńczone są powodzeniem.

Niestety radość z kupionej książki zakłócana bywa zbyt często. Dzieje się to za sprawą niewielkiej karteczki wetkniętej wstydliwie między stronice książki. Kartka ta nosi tytuł „Errata" i jest — jak wiadomo — spisem błędów zauważonych już po wydrukowaniu dzieła.

Próbuję usprawiedliwiać te błędy, próbuję sobie wmówić, że — na przykład — korektorzy, redaktorzy i drukarze nie znają języka angielskiego. Wybaczam więc fakt, że w książce **P. M. Kendalla Ryszard III"** nazwisko Guildford jest aż czterokrotnie wydrukowane z błędami, że z błędami wydrukowano także inne nazwiska...

Ale jak mogę usprawiedliwić Zakłady Graficzne w Toruniu, które drukując wybór wierszy **Edwarda Słońskiego** dodają do książki karteczkę ze słowami: **„Na stronie 4 zniekształceniu uległo nazwisko Wojciecha Kossaka"**. Istotnie pisze tam jak byk: **„Korsaka"**. Byk jest potężny. Wytłumaczyć go tylko można niechlujstwem, albo brakiem znajomości — już nie angielskiego — ale polskiej kultury.

Pięknie i elegancko wydana antologia **„Strofy o pracy"** (Poznańskie Zakłady Graficzne) także nie może się obejść bez „Erraty". Nazwisko Makbeta jest przekręcone (znów ten nieszczęsny angielski), zamiast „trawy" jest „trwa", niechlujnych „literówek" co niemiara... „Errata" ma dodatkowe wyjaśnienie: **„Wykaz błędów powstałych w drukarni"** W ten sposób wydawnictwo zrzuca z siebie winę — i słusznie, ale w ostatecznym rachunku czytelnikowi jest przecież wszystko jedno, kto winien bałaganiarstwa. Kupuje książkę i chciałby (ma prawo!) otrzymać ją w kształcie idealnym. Lub choćby tylko przyzwoitym.

Cenna praca **Andrzeja Ajnenkiela „Polska po przewrocie majowym"** zawiera m.in. pomylone daty, co w książce historycznej jest niedopuszczalne; zmienione imię kardynała Hlonda, zmienione nazwisko premiera Składkowskiego, zmienione nazwy związków i stowarzyszeń... Oraz pomniejsze błędy. Wszystko to jest twórczym wkładem w dzieło Rzeszowskich Zakładów Graficznych.

Jeszcze raz muszę postawić do kąta Poznańskie Zakłady Graficzne. W książce **Henryka Szletyńskiego „Siedem gawęd z czasów młodości"** przekręcono nazwisko Wielopolskiego oraz — o zgrozo! — popełniono błędy w nazwisku Gebethnera. Stary księgarz, drukarz i wydawca przewraca się zapewne w grobie. Miejmy nadzieję, że będzie po nocach straszył niechlujnych drukarzy z Poznania.

Doskonale rozumiem wydawców, którzy poprzez sformułowania w erracie („z winy drukarni") wskazują palcem na rzeczywistych sprawców niechlujstwa. Dziwna rzecz jednak, że są wydawnictwa, które publikują książki prawie zupełnie bez errat. Należy do nich na przykład Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Domyślam się, gdzie tkwi tajemnica. Otóż większość (a może i wszystkie) książki tej oficyny drukuje się właśnie w Krakowie. Niestety — nie wszystkie wydawnictwa mają takie szczęście.

Jeśli warszawski PIW musi drukować aż w Toruniu, warszawska „Wiedza Powszechna" w Rzeszowie, warszawskie „Iskry" w Poznaniu — to dbałość o czystość druku i kontrola muszą być siłą rzeczy osłabione.

Prezentuję tutaj tylko „stan rzeczy" nie sugerując i nie postulując niczego. Po prostu wiem jaka jest sytuacja polskiej poligrafii. I choć radość z zakupionej książki mąci mi karteczka z erratą — to i tak wolę książkę z erratą niż... samą tylko erratę.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DZIKIE JABŁKA

Nie wiem, czy to jeszcze jeden skutek „takich teraz pogód, wie pani", czy dlatego, że „dziś, proszę pana takie czasy", czy może taki nastał właśnie sezon — dość, że w ostatnich dniach zdarza mi się zbyt często jak na mój gust, spotykać ludzi głupich. Głupota ma tysiące odmian, a tylko niektóre z nich mogą człowieka rozbroić, zneutralizować, ewentualnie rozśmieszyć. Większość przypadków głupoty raczej uzbraja, denerwuje, czasem przeraża.

Oto przed telewizorem w sanatorium siedzi gość — chyba po pięćdziesiątce, chudy, pomarszczony, w garniturze i „przy krawacie". Zaczyna się film. Na widok tragicznych, autentycznych scen facet zaczyna lubieżnie chichotać i sam do siebie pokrzykuje: Widzisz go! O! Ale mu dali! O, ten już ma dość...

— Czego pan się cieszy? — nie wytrzymałem. Czy to takie zabawne? Zamilkł i od tamtej pory przestał mnie zauważać. Niestety musiałem nieraz jeszcze wysłuchiwać jego rozmów z kilkoma innymi panami — bo schodzili się na pogaduszki tuż za moimi drzwiami a nie umieli ściszać głosów i nie widzieli po temu powodu. Gdyby ludzie wiedzieli jak idiotyczna wydaje się prawie każda rozmowa komuś nie zaangażowanemu, stojącemu obok — kto jej z musu słucha — może wreszcie zaczęliby nastawiać swoje organy głosowe na taką moc żeby słowa dochodziły tylko do adresata. Może nie trzeba by było w tramwaju i w poczekalni, w sklepie i na ławce w parku wysłuchiwać cudzych pokrzykiwań o ciśnieniu i trawieniu, relacji o tym co kto komu powiedział, i że odciski i nowy mostek i dziecko ma robaki. Każda słuchana mimo woli rozmowa wydaje się głupia. Cóż dopiero, kiedy to jest rozmowa durniów.

— Dlaczego chodziłeś z dzikimi jabłkami w ustach?

— Bo mają lepszy kształt niż kasztany. Już ci to mówiłem.

— Dlaczego w ogóle wypychałeś sobie czymkolwiek policzki?

— Wcale nie wypychałem sobie policzków czymkolwiek, tylko dzikimi jabłkami. A kiedy nie było dzikich jabłek, używałem kasztanów. Do wypychania policzków oczywiście. Po jednym z każdej strony.

— Po co?

— Co po co? Bo chciałem mieć...

— Jezu Chryste! Ale dlaczego chciałeś mieć?

— ...policzki jak jabłuszka.

— ...policzki jak jabłuszka?

— Chciałem mieć policzki jak jabłuszka.

— Ale dlaczego chciałeś mieć policzki jak jabłuszka?

— Wcale nie chciałem mieć policzków jak jabłuszka. Po całych dniach ściskałem gumową piłeczkę w dłoni.

— Po co?

— Co po co?

— Po co ściskałeś po całych dniach gumową piłeczkę?

— Bo gumowe piłeczki są lepsze niż dzikie jabłka...

I tak dalej!

To jest rozmowa, co? Prowadzą ją dwaj amerykańscy oficerowie lotnictwa w bazie przyfrontowej, podczas wojny w powieści Josepha Hellera „Paragraf 22". Cała niemal powieść to takie właśnie dialogi. Jej przekład wyszedł właśnie w drugim nakładzie, a ponadto została zaadaptowana na scenę i będzie grana w Warszawie. W Ameryce sfilmowano ją kosztem dwudziestu paru milionów, więc będzie jeszcze światowym szlagierem ekranowym. Czytając tę bardzo honorowaną książkę miałem cały czas wrażenie, że podsłuchuję bełkotliwe rozmowy jakichś typów o zupełnie niezorganizowanych umysłach, nieporadnych myślowo, prymitywnych językowo. Może książka jest świetna, może odbieram ją na złej fali. Nie mogę jednak powstrzymać się od pytania: czy naprawdę amerykańscy oficerowie byli tacy głupi? Czy tak właśnie przeżywali wojnę i swój w niej udział? Czy nigdy nie rozmawiali po ludzku, zawsze na zgrywie, na wygłupie? Zawsze myśleli tylko o dziwkach i o dekowaniu się, a ich sztabowi przełożeni to banda zaufanych groszorobów i butnonów?

Paragraf 22 to — jak wynika z powieści — taki paragraf, który pozwalał uznać żołnierza USA za psychicznie chorego, jeśli sam o to poprosił. Ale żeby poprosić — musiał być zdrowy na umyśle. Błędne koło.

Ale może sens tego wszystkiego też trzeba było odbierać na innej fali?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

COŚ SIĘ ZDARZY

Proszę się jednak nie bać. Nie stałem się nagle jasnowidzem i nie mam zamiaru przepowiadać jakichś strasznych zdarzeń. Zresztą los nam ich i tak nie szczędzi. Stale coś tragicznego dzieje się na tym najlepszym — mimo wszystko — ze światów. Mnie chodzi zupełnie o coś innego. Na podstawie kilku faktów doszedłem do wniosku, że w niedługim już czasie coś się nowego wydarzy w przestrzeni kosmicznej. Do takiego wniosku zresztą mógł dojść każdy, kto się interesuje badaniami przestrzeni kosmicznej i śledzi zachodzące tam wydarzenia.

16 grudnia 1979 roku z terytorium ZSRR wystrzelono w przestrzeń kosmiczną nowy statek „Sojuz T". 19 grudnia połączył się on z przebywającą od dwu i pół lat w Kosmosie stacją „Salut 6". Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie drobnostka. Otóż „Sojuz T" jest nową wersją statków kosmicznych tego typu. Jest to wersja udoskonalona, posiadająca wzmocnioną konstrukcję nośną, lepszy system hamowania podczas lądowania oraz lepszy system sterowania i łączności.

24 marca 1980 roku „Sojuz T" odłączył się od stacji „Salut 6" i następnie został sprowadzony na Ziemię. Lot „Sojuza T" trwał 100 dni. Jeżeli przyjąć, że litera „T" przy statku „Sojuz" oznacza jego wersję transportową, to i tak jest to nowość w transporcie kosmicznym, gdyż do tej pory statki typu „Progress" na Ziemię nie wracały, a spalały się w górnych warstwach atmosfery. Lądowanie „Sojuza T" dowodzi, że obecnie można już utrzymywać stałą łączność Ziemia — stacja kosmiczna, że łączność taka może być utrzymywana nie tylko wówczas, kiedy ludzie są na stacji. Tu przy okazji warto przypomnieć trudności, jakie mają specjaliści z NASA przy budowie promu kosmicznego.

Co to oznacza — możliwość utrzymywania stałej komunikacji ze stacją kosmiczną? Oznacza to — a przynajmniej może oznaczać — bardzo długi pobyt załogi na stacji. Dłuższy niż do tej pory. W czasie takiego długiego pobytu załoga stacji może nie tylko odbierać transporty paliwa, żywności i innych niezbędnych jej materiałów i urządzeń, ale również wysyłać na Ziemię materiały zużyte, pocztę, wyniki swoich badań i tak dalej. Może to też oznaczać praktyczne przeprowadzenie remontu stacji. W rozwoju badań kosmicznych jest to duży krok.

Ale nie koniec przecież na tym. Ledwie się statek „Sojuz T" odłączył od „Saluta 6", ledwie wylądował na Ziemi, a już w przestrzeń kosmiczną poszybował inny statek. 27 marca 1980 roku wystrzelono statek towarowy „Progress 8", który następnie przycumował do stacji kosmicznej „Salut 6". Stało się to w dwa dni później. Statek przywiózł zapas paliwa i innych materiałów niezbędnych do funkcjonowania „Saluta 6" w przestrzeni kosmicznej.

Teraz można się spodziewać, że w niedługim czasie wystrzelony zostanie kolejny statek „Sojuz", na którym poszybuje w przestrzeń kosmiczną załoga. Można się również spodziewać, że będzie to kontynuacja lotów międzynarodowych. W Gwiezdnym Miasteczku szkolą się bowiem przedstawiciele różnych narodów, a mówiło się również i o wspólnym locie kosmicznym radziecko-francuskim. Sądzę jednak, że na ten lot jest jeszcze za wcześnie.

W Związku Radzieckim nie ma zwyczaju zapowiadania kolejnych prób, badań i wypraw. Opinia publiczna dowiaduje się o tym już po fakcie. Również i tym razem niczego nie zapowiedziano, ale z faktów, jakie przedstawiłem, można dojść do wniosku, że znów będziemy świadkami ciekawych wydarzeń w Kosmosie. Radziecka kosmonautyka rozwija się konsekwentnie, choć znacznie mniej „efektownie" niż kosmonautyka amerykańska. Tylko, że po serii wyczynów amerykańskich astronautów nastąpił okres chudy, a kosmonauci radzieccy osiągnęli w tym czasie znaczne postępy. Jest to zupełnie inna droga badań przestrzeni kosmicznej, ale — jak dowodzi tego praktyka — bardziej skuteczna i przynosząca trwałe efekty.

Poznanie Kosmosu jest wspólnym celem ludzkości. I choć teraz sytuacja na Ziemi nie sprzyja współpracy w przestrzeni kosmicznej, to wydaje mi się, że taka współpraca jest nieunikniona i prędzej czy później będzie musiało do niej dojść. Jak wynika z tego, jestem raczej optymistą i wierzę w to, że na Ziemi odprężenie zwycięży, co pozwoli nam spokojnie patrzeć w niebo, na którym może się dziać wiele ciekawych rzeczy służących pokojowi i ludzkości. A temu służy poznanie Kosmosu.

Oczywiście malkontenci zaraz zapytają: po co nam to wszystko? Nie brakuje nam tu kłopotów na planecie, po co więc pchać się i szukać dodatkowych w Kosmosie. Badanie przestrzeni kosmicznej, jak by na to patrzeć, służy bezpośrednio nam wszystkim. Już choćby tylko przez to, że prowadzi do niebywałego rozwoju techniki i nauki.

MARCIN RODAK

1/3 mini magazynek

ZE SPORTU

Daleko do wiosny

Nasi wspaniali chłopcy znów przegrali. Tym razem z nie najlepiej usposobionymi Belgami. W perspektywie mamy kolejne lanie, które sprawia naszym chłopcom piłkarze RFN. Piłkarski rok zapowiada się więc dość monotonnie. Jak tak dalej pójdzie to i Maltańczycy dadzą naszym łupnia.

Tak rozmyślając słuchałem tego co opowiadał o meczu z Belgami nieoceniony Jan Ciszewski. I choć nie należy dworować sobie z cudzych nazwisk kiedy jednak powtarzał z uporem: — idzie Lato" — do głowy przychodziła mi natrętna myśl, że lato już umknęło a oto widzimy, jak idzie jesień.

I druga prawda. Z jednym Pałaszem wojny się nie wygra.

K. I. Bic

Kto pyta nie błądzi?

Krzysztof Mętrak, stały felietonista tygodnika „Piłka Nożna" doszedł do wniosku: **„w światku futbolowym intryguje mnie — podobnie jak i innych szeregowych kibiców — wiele spraw"** Na przykład: **„dlaczego piłkarz Buncol został powołany do reprezentacji w chwilę po tym jak go ukarano?"** Albo: **„dlaczego trener Strejlau niegodny był wyjazdu za granicę, a inni dostąpili tego zaszczytu?"**. I inne tego rodzaju sprawy.

Ów „szary kibic" z piłkarskiego tygodnika apeluje. **„Koledzy — dziennikarze, żyjący na co dzień najbliżej piłki! Wsłuchajcie się w te pytania i próbójcie odpowiadać nawet na najbardziej nieważne".**

Okazuje się, że — jak zawsze — wszystkiemu winni są dziennikarze. Teraz też, bo nie odpowiadają na wiele pytań nurtujących szarego kibica i Krzysztofa Mętraka. A kto powinien być lepiej poinformowany o sprawach dziejących się „w światku futbolowym" jak nie piszący w tygodniku, którego pełna nazwa brzmi: **„NA STADIONACH POLSKI I ŚWIATA — PIŁKA NOŻNA"?** Belkę łatwiej dostrzec pod lasem niż źdźbło we własnym oku...

L. E. Ktor

Rowerem na Księżyc

Sensacyjną informację, która umknęła z pola widzenia kibiców zamieścił ostatnio „Dziennik Popularny". Oto, ponoć, według „Dziennika" pierwszy etap kolarskiego wyścigu Giro Berrgamsco **„rozegrany był w niezwykle dużym tempie, ze średnią prędkością 54.200 km na godzinę".**

Jak się dowiadujemy, NASA prowadzi badania dotyczące wykorzystania rowerów w komunikacji międzyplanetarnej.

P. Edał

„Express Ilustrowany" zamieścił informację o tym, iż profesor Christian Barnard i jego brat Marius, słynni kardiochirurdzy **„przyjadą niedługo do Łodzi gdzie podczas dwutygodniowego pobytu (...) zamierzają przeprowadzić u kilkorga dzieci z wrodzonymi wadami serca operacje konieczne dla ratowania ich życia i zdrowia".**

RESEKCJA?

Jeden z czytelników „El", który ma synka z wrodzoną wadą serca zadzwonił do redakcji aby się tam dowiedzieć, iż informacja była dowcipem primaaprilisowym. Wtedy zadzwonił do nas, pytając, czy komuś z redakcji „Expressu Ilustrowanego" nie wykonano ostatnio resekcji sumienia.

Nie potrafiliśmy odpowiedzieć na to pytanie.

C. H. Irurg

Rys. Jan Kilkowski

WYGOLONA KSIĄŻKA

Kupiliśmy „APARAT DO GOLENIA" (wyprodukowany przez Łódzkie Zakłady Wyrobów Metalowych) i wraz z nim metkę" o wymiarach 9x12 cm. Metka powinna czemuś służyć, ale czemu ma służyć właśnie ta? Żadna z jej rubryk (świadectwo kontroli jakości, data produkcji, znak K.J. znak pakowacza), nie jest wypełniona! Po drugiej stronie wydrukowano coś w rodzaju instrukcji obsługi, ale chyba z przeznaczeniem dla idiotów.

Jak obliczyliśmy, na papierze (dobrej jakości), zużytym na druk metki (wymiar 9x12 cm nakład 200 tysięcy egzemplarzy) można by wydrukować 1000 egzemplarzy 100-stronicowej książki o formacie 18x24 cm. Książka ta została wygolona...

(k)

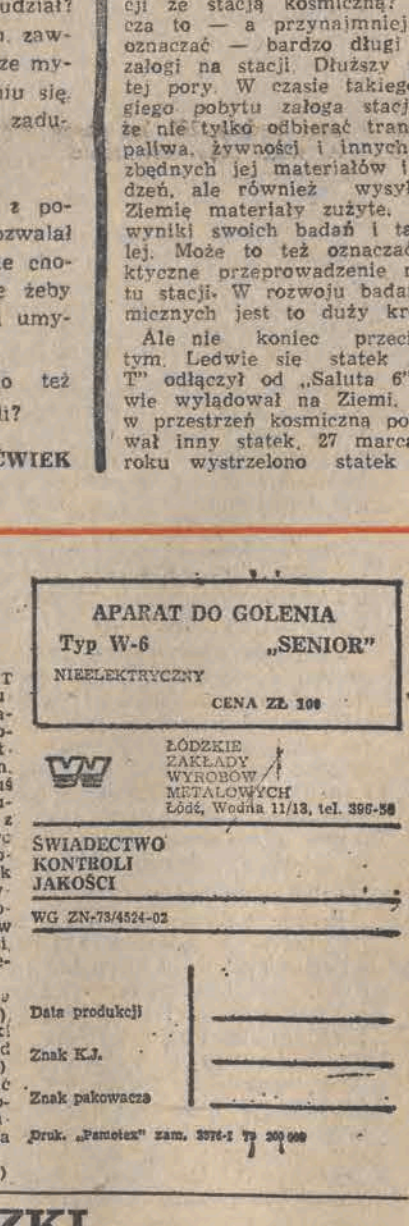

PRZTYCZKI

Za dużo budujemy?

Dyrektor K. Gobiec z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej stwierdził, że w pierwszym kwartale br. brakuje 360 pozycji leków ze spisu urzędowego.

W aptekach łódzkich całymi tygodniami nie można dostać preparatów wapniowych niezbędnych dla dzieci. Trochę to dziwi, bo czego jak czego, wapna u nas przecież nie brakuje, wprost marnuje się na budowach. Może więc budowlani, którzy często także posiadają małe dzieci odstąpią parę kubełków wapna przemysłowi farmaceutycznemu? Choćby jako fuchę dla dobra sprawy, i tak się tego wapna nikt nie doliczy.

Wyrafinowanie

W jednej z łódzkich gazet przeczytaliśmy wiadomość, że sądowi konkursowemu I Przeglądu Filmów Reklamowych przewodniczył Bohdan Drozdowski. Trochę nas zdziwiło, że wyrafinowany poeta patronuje tak peryferyjnej imprezie, choć trzeba przyznać, że talentów reklamowych mu nie brak, o czym świadczy choćby lutowy zeszyt miesięcznika „Poezja" której jest redaktorem. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy okazało się, że przewodniczącym jury był Bogumił Drozdowski. Zbieżność nazwisk już niejednego wprowadziła w błąd.

K.F.

TADEUSZ FAINGRAT

FRASZKI

SATYRA

Satyra mniej karci
tych, co więcej tego warci.

SKAKANKA

Skakał na balu z jedną urocza,
teraz mu żona skacze do oczu.

O ANIELICY

Chciała zrobić mi piekło,
ale mi się upiekło.

W RECENZYJNYM KĄCIE

W Teatrze im. Jaracza odbyła się premiera przedstawienia przeznaczonego dla amatorów domorodnych oraz [illegible] ści społeczeństwa, która buduje sobie dacze. Publiczność zwabiono pod pretekstem ścinania lasu na scenie.

Okazało się tymczasem, że las jest dawno wycięty, a więc — nie ma sprawy. Nic dziwnego, że publiczność opuszczała teatr zawiedziona.

Protestujemy przeciw takim praktykom. Przedstawienie nie powinno nosić mylącego tytułu „Rozmowy przy wycinaniu lasu", lecz, powiedzmy „Rebacz — gaduła", albo „Gadanie przy pieńku" Wtedy wiadomo by było o co chodzi i publiczność nie latałaby bez sensu z łapówkami.

(kat)

Teatr im. Jaracza w Łodzi. S. Tym — „Rozmowy przy wycinaniu lasu" Reżyseria B Hussakowski, scenografia J. Rudzki Premiera prasowa 3 kwietnia 1980 r.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 820. G-2.